

**Gerard Cindy**

**Zabawy z miłością**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

To się nie miało prawa zdarzyć. Nie w ten sposób i nie przez tego człowieka. Rachael Matthews zmarszczyła brwi, usiłując zignorować nagły i niepożądany przypływ zainteresowania, który ogarnął ją w chwili, gdy spojrzała w oczy Nate'a McGrory'ego. Podniosła bukiet druhny niczym zaimprovizowaną tarczę, usiłując zachować rezerwę i dzielnie znieść spojrzenie družby, który bezczelnie uśmiechał się do niej z głównej nawy kościoła.

W końcu to tylko facet. Skrzyżowanie Antonia Banderasa z Pierce'em Brosnanem. Doskonale. Może jednak pozwolić sobie na chwilę rozmarzenia? Któraż kobieta pozostałaby obojętna? Tylko jedno spojrzenie.

Lśniące, brązowe oczy. O wiele za długie jak na przyzwoitego człowieka włosy, doskonale ułożone i szesane w tył, odsłaniały regularne, rzeźbione rysy twarzy. Dołeczki w opalonych policzkach przydawały mu czaru anioła lub grzesznika, ale prosty nos, szerokie czoło i mocna szczęka były niezaprzeczalnie męskie. Lewą brew przecinała wąska blizna w kształ-

cie półksiężycu. Właściwie powinna szpeciść tę niezwykłą twarz, lecz w istocie przydawała jej jedynie wrażliwości, zadając kłam niewiarygodnej, przytłaczającej pewności siebie, jaka emanowała z całej postaci mężczyzny. „Skoro pytasz, oczywiście, jestem panem na włościach, choć łagodny i dobry ze mnie władca. Aha, a tak przy okazji... lubię, kiedy moje kobiety są świeże i gorące”.

Świetnie. Teraz wszystko nabrało właściwej perspektywy. Arogant do szpiku kości. Rachael oprzytomniała raptownie, z trudem powstrzymując wzdargliwe prychnięcie. O, tak, znała ten typ. Aż za dobrze. Wszystko na wysoki połysk, pełny serwis i o wiele więcej problemów, niż to wszystko jest warte.

Skinęła głową z lodowatą miną, ale on tylko uśmiechnął się zabójczo. Spojrzał na nią z wyraźnym zainteresowaniem, a jego oczy zdawały się mówić: „Wreszcie się spotykamy. Miejmy już za sobą ten ślub, bo musimy się lepiej poznać”.

Rachael uśmiechnęła się uprzejmie. Chodziło przecież o Karen i ponad dwie setki gości zgromadzonych w ławkach i oczekujących na główną atrakcję dnia - państwa młodych. Uniosła delikatnie brew z wymownym wyrazem twarzy. Ależ tak, oczywiście, skoro pan sobie tego życzy...

Roześmiał się.

Och nie, nie na głos, ale z tym przekornym błyskiem w oku, który zdawał się mówić: „Pani, jeśli

uznam, że chcę cię mieć, ani ty, ani żadna siła na niebie i na ziemi mnie przed tym nie powstrzyma".

Arogancja, a do tego niewyobrażalnie rozdęte ego.

Może i jest arogantem, ale z niej też niezłe ziółko, skoro uległa jego czarowi. Musi o nim zapomnieć. To coś... nie próbujmy tego nawet nazwać... co nagle rozbłysło pomiędzy nią a tym całkiem obcym człowiekiem... nie może się zdarzyć. Nie ma na to ani czasu, ani cierpliwości. A właściwie, powiedzmy to sobie szczerze, nie miała nawet wielkiej ochoty. Życie jest dobre takie, jakie jest.

Może wreszcie uległa napięciu, w jakim przygotowywała ślub przyjaciółki. Zaplanowała święto Karen z minuty na minutę. To był jej zawód. Przygotowywanie ślubów i wesel od kilku lat stanowiło źródło jej utrzymania. Tym razem jednak chodziło o Karen, najlepszą przyjaciółkę, więc Rachael zaangażowała się w przygotowania całym sercem. Chciała, aby wszystko było doskonałe, zrobiła, co było w jej mocy, aby istotnie tak się stało. Kwiaty, muzyka, przyjęcie w hotelu Royal Palms, gdzie działała jej firma Brides Unlimited - Rachael osobiście dopilnowała najdrobniejszych szczegółów.

Do tej pory wszystko szło kwietnie. Karen wyglądała przepięknie. Blask, jakim promieniała twarz panny młodej, na chwilę rozwiął napięcie Rachael i poruszył głęboko resztki jej romantycznej duszy.

Drgnęła, kiedy zaofiarował jej ramię, ale natych-

miast oprzytomniała, wyprostowała się i dotknęła go. Może to zrobić. W końcu to nic takiego. Widocznie jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, jakiego doznała, i widząc Nate'a McGrory'ego na własne oczy. Po tych wszystkich peanach, jakie usłyszała od Karen.

- Rachael, mówię ci- powtarzała jej przyjaciółka, kiedy spotkały się wreszcie w jednej z rzadkich chwil wolnych od zajęć. - Poczekaj, aż sama go zobaczysz.

Siedziały wtedy przy stoliku na kamiennym deptaku Pescatore, w niewielkim zakątku na rogu ulic Klematisów i Narcyzów, gdzie zachował się jeszcze urok West Palm Beach. W tle szemrały fontanny i śpiewały ptaki, a egzotyczne kwiaty Florydy rozkwitały feerią upojnych zapachów i barw.

Karen także rozkwitała. Właśnie - po długich poszukiwaniach - kupiły jej ślubny welon i teraz młoda narzeczona rozwodziła się nad książęcym urokiem przyjaciela Sama z college'u, niejakiego Nate'a McGrory'ego - pełnego zapału prawnika-milionera z Miami, który miał przybyć na zaślubiny swoim prywatnym odrzutowcem.

- Wiem, co mówię - ciągnęła Karen z emfazą. -Gdybym tak bardzo nie kochała Sama, przyjrzałabym mu się uważniej. To chyba ta mieszanka krwi irlandzkiej i latynoskiej, która krąży w jego żyłach... Rach... naprawdę nie przesadzam. Ten facet jest nie tylko czarujący i nadziany. Zapiera dech w piersi, można umrzeć z zachwytu.

- Kwiaty hibiskusa też, a żyją... ile? Dzień? - Rachael podniosła kieliszek merlota i pogroziła nim przyjaciółce. - Naprawdę nie jestem zainteresowana.

- Ale on jest taki... doskonały - nalegała Karen.

- Skarbie, nic mnie to nie obchodzi, choćby był Benem Affleckiem we własnej osobie. Karen, proszę, wyjdź za mąż. Życzę ci wszystkiego najlepszego, ale przestań mnie swatać. Mam wszystko, czego mi trzeba do szczęścia. Dobrych przyjaciół i wspaniałą pracę. Dlaczego jej przyjaciele nie mogli się pogodzić z tym, że jest jej dobrze tak, jak jest? Była samodzielna, odnosiła sukcesy - choć czasem miała wrażenie, że coś jej umyka. Coś, do czego miała prawo, a co w jej życiu nie istniało.

Otrząsnęła się i rzuciła niepewne spojrzenie w kierunku Nate'a McGrory'ego. Musiała przyznać, acz niechętnie, że Karen ma rację. Pan Doskonały był rzeczywiście doskonały w świetnie skrojonym fraku, który idealnie podkreślał idealną sylwetkę. Ciemny, niebezpiecznie przystojny, z uwagą wsłuchiwał się w słowa pastora, wygłaszającego sakramentalną formułę.

Jęknęła, bo nagle stwierdziła, że większość ceremonii ślubnej spędziła na obserwowaniu go.

Wszystkiemu winne te buty, prawda? Nie chciała wyglądać jak karzełek przy pozostałych druhnach - miała metr pięćdziesiąt osiem wzrostu - więc zdecy-

dowała się na dziesięciocentymetrowe obcasy. Z pewnością zahamowały jej dopływ krwi do mózgu.

- ...ogłaszam was mężem i żoną.

Słowa pastora przywróciły Rachael do rzeczywistości.

Gorące oklaski wypełniły kościół, gdy nowożeńcy przypieczętowali przysięgę pocałunkiem dość przyzwoitym, by uchodził w kościele, a jednak na tyle gorącym, że kilku gości roześmiało się z sympatią. A drużba szelmowsko mrugnął do Rachael.

Udała, że tego nie widzi, skupiając się na szczęśliwej młodej parze. A potem udawała, że potrafi opanować dziwną reakcję na Nate'a McGrory'ego. Duży wyczyn, biorąc pod uwagę, że nogi zmieniły jej się w galaretę.

Zmusiła się do radosnego uśmiechu i zaraz zgrzytnęła zębami, bo pan Doskonały znowu się roześmiał, jakby chciał powiedzieć: „Walcz, śmieję się, i tak cię dopadnę”.

Spojrzała mu w oczy i przyjęła jego ramię. Stąpając za młodą parą wzdłuż nawy, posłała mu własną wiadomość: „Śnij dalej, miliardkerku”.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Chciałabym być tak kochana - mruknęła Kim Clancy z głębokim westchnieniem, sadowiając się w fotelu przy stoliku. Znajdowali się w sali balowej na szóstym piętrze hotelu Royal Palms.

Rachael bawiła się srebrzystymi i bordowymi wstążkami bukietu druhny. Wokół nich wirowały roztańczone pary.

Różowa krepa, z której uszyto suknie druchen, wyglądała prześlicznie w zestawieniu z rumianą cerą i czarnymi włosami Kim, ale Rachael zawsze odnosiła wrażenie, że zielonookie i rudowłose kobiety nie wyglądają dobrze w tym kolorze. Nawet gorące spojrzenia Nate' a McGrory' ego nie zdołały jej przekonać, że jest wręcz przeciwnie.

Odłożyła bukiet, pracowicie zamieniając w konfetti papierową serwetkę z imionami Karen i Sama oraz datą ślubu, wypisanymi wymyślnym, złotym liternictwem. Rachael z trudem oderwała myśli od niepokojącego druzby i koso spojrzała na Kim.

- Nie chcę cię rozczarować, Kirnmie, ale taka mi-



łość zdarza się tylko w filmach, książkach i romansach.

No dobrze... może czasem i w życiu. Tyle tylko, że nie w jej życiu. Oparta podbródek na dłoni i westchnęła głęboko, widząc wirujących na parkiecie, wpatrzonych w siebie Karen i Sama. Antyczna suknia ślubna Karen z satyny i koronki wirowała wokół nich jak biały obłoczek.

- Nie wierzę, że nie cieszysz się szczęściem Karen.

- O, skarbie, wierz mi, cieszę się bardzo - zapewniła Rachael. - Sam to świetny facet, ale jeśli ją kiedyś skrzywdzi, to niech mnie...

- Na litość boską, nie skrzywdzi jej.

- Zobaczymy.

Kim pokręciła głową. Delikatne różowe różyczki spinające jej czarne loki zadrżały lekko, przypominając Rachael, że w jej włosach też tkwią kwiaty. Na Kim wyglądały elegancko, ale Rachael była pewna, że jej własna fryzura, z trudem upięta z długich prostych włosów, przypomina strzechę przetykaną zwiędłymi kwiatami, a nie nimfę przyodzianą w ne-nufary - jak dumnie określiła swą pracę zachwycona fryzjerka.

- Plecy cię rozbolą od takiego brzemienia cynizmu - zauważyła Kim. - Nie można w ten sposób przeżyć życia.

Rachael uniosła wysoki, smukły kieliszek pełen ciepłego., pozbawionego gazu szampana.

- Nie tworzę reguł. Tylko ich przestrzegam.

- Kiedyś zakochasz się naprawdę. Nie mogę się tego doczekać.

Rachael pociągnęła łyk, przełknęła i pokręciła głową. Cienki lok wysliznął się spod spinki i opadł jej na kark. Daremnie próbowała go wetknąć z powrotem pod wianek.

- Czytałam książkę. Obejrzałam film. Sama nie muszę być bohaterką. Nie przejmuj się tak bardzo, to się nigdy nie stanie.

- Nigdy to bardzo długo, Rach - cicho rzekła Kim.

Rachael wiedziała, co to znaczy „długo”. Na przykład długi czas minął od dnia, kiedy po raz ostatni liczyła na kogoś innego. Nie szkodzi. Była niezależna i dumna. Nie czułaby się dobrze uzależniona od jednej osoby i przywiązana do niej na zawsze.

Kimie i Karen natychmiast jednogłośnie oskarżyły ją o „problemy” z zaufaniem. Nic nowego. Sama się do tego przyznawała. Ale przecież nie ma nic złego w odrobinie ostrożności. Ani w zadowoleniu z samotnego życia.

Uśmiechnęła się z przymusem do Kim, która była wieczną optymistką. Rachael wybacziała jej to, gdyż kochała ją jak siostrę.

- Mnie tam wystarczy staroświeckie pożądanie- odparła, otrząsając się z zadumy. - Przynajmniej szczerze.

- Jasne, pewnie - prychnęła Kim. - I na pewno od razu zgodzisz się na taki układ.

No tak. Kim zbyt dobrze ją znała. Rachael nie lubiła przelotnych przygód. Czasem tylko wydawało jej się, że zazdrości kobietom, które potrafią je przeżywać i nie wiązać się na stałe, jak ona. Mężczyznom też odpowiadał taki układ.

- Nigdy nie wiadomo - odparła zaczepnie. - Może właśnie zamierzam rozpocząć nowe życie. Cieszyć się i niczego nie żałować.

- Nowe życie? Chyba musisz się pospieszyć, bo ktoś już na ciebie czeka.

Rachael spojrzała na nią ze zdziwieniem. Kim skinęła głową w stronę mężczyzny, który zwinnie wymijał tańczące pary i kierował się ku nim.

- Uwaga, smakowity kąsek na szóstej! Rany-bo-skie-co-za-samiec! Jeśli go nie chcesz, szepnij mu słówko o mnie, co?

Rachael poczuła, że sztywnieje. Przez cały wieczór świadoma była gorących spojrzeń Nate'a rzucanych w jej kierunku: od wyjścia z kościoła, aż do przyjęcia. Nie zrezygnował też od pierwszego, tradycyjnego tańca - trzy godziny temu. Pomimo to Rachael jakoś udawało się do tej pory udawać, że jest zajęta organizacją uroczystości, i utrzymywać go na odległość.

- Witam panie - rzucił z zabójczym uśmiechem.

Rachael usiłowała udawać znudzoną, ale przez cały czas myślała tylko o jego zapachu, który owionął ją w tym jednym tańcu - piżmo, przyprawy i coś eg-zotycznie-erotycznego. Starła się nie pamiętać ciepła

jego szerokiej dłoni na plecach ani musnięcia jego podbródka na czubku głowy, gorącego oddechu muskającego kwiatki wpięte w jej włosy. Próbowła -naprawdę próbowała - zapomnieć musnięcia jego ud na swoich, siłę ramion pod frakiem.

- Obie wyglądacie dzisiaj bardzo... różowo - zauważył i usiadł na wolnym miejscu obok Rachael.

Bawiła się listkiem mięty obok nietkniętego kawałka tortu i miała nadzieję, że gwałtowne bicie serca

o gorset nie spowoduje jego rozdarcia.

- Cóż, zgadza się - odparła z udaną wesołością. -

i tylko dlatego, że Karen dałaby się za nas posiekać na kawałki, zgodziłyśmy się włożyć te...

- ...bardzo różowe sukienki? - dopowiedział z beczelnym uśmiechem.

- Tak.

Jego uśmiech złagodniał, stał się zdecydowanie zbyt poufały i przyjazny. Leniwie wsparł łokieć na stole i zajrzał jej prosto w oczy. Rachael uparcie wytrzymywała jego wzrok, usiłując dać mu do zrozumienia, że w ogóle na nią nie działa. Wydawało jej się nawet, że to osiągnęła - dopóki nie wbił palca wskazującego w jej nietknięty kawałek tortu, przyjrzał mu się uważnie, po czym włożył go do ust.

- Dobrze.

Rumieniec zalał jej twarz i dekolt, aż po ostatnie rude piegi. Odwróciła wzrok.

- Jak leci, Nate? - To Kim.

Rachael poczuła kopnięcie pod stołem, prawdopodobnie znak, żeby przestała się dąsać i okazała nieco zainteresowania.

- Jedna z moich ulubionych melodii - powiedział głosem odrobinę nadąsanym i przez to jeszcze bardziej pociągającym - i proszę... nie mam z kim jej zatańczyć.

Rachael doskonale wiedziała, gdzie spoczął jego wzrok, i z udaną obojętnością obracała w palcach nóżkę kieliszka, pilnie wbijając wzrok w małą kupkę strzępków podartej serwetki.

- Wspomożesz biedaka? - zapytał z chmurnym wdziękiem. - Zatańczysz ze mną?

Już miała uprzejmie, lecz stanowczo odmówić, kiedy zorientowała się, że zaproszenie nie było skierowane do niej, lecz do Kim.

Szybko zamknęła usta, starannie ukrywając zaskoczenie, i zachęcająco skinęła głową niepewnej i zmieszanej Kim.

- Idź. Wytącz się.

Kim spojrzała na nią dziwnie i pozwoliła się odprowadzić na parkiet.

Doskonale, pomyślała Rachael, spoglądając w ślad za nimi. Co za ulga, że wreszcie pojął aluzję i zrezygnował. Nie czuła się ani zmieszana, ani odrzucona, ani zawiedziona, że przyszedł po Kim, a nie po nią. Nie, naprawdę, wcale się tak nie czuła.

Nawet kiedy przetańczyli razem kolejne trzy tańce, głowa przy głowie, roześmiani, rozgadani, zajęci so-

bą. Wstała i niepostrzeżenie opuściła salę, by sprawdzić raz jeszcze setkę białych balonów i koszyczków z konfetti w kształcie serduszek, które zostaną uwolnione o północy, kiedy szczęśliwa para wybierze się w podróż poślubną.

Nate spoglądał ponad ramieniem Kim na Rachael Matthews, która wyśliznęła się z sali niczym złodziej z ładunkiem rodzinnych klejnotów. Nie wiedział, co go właściwie intryguje w tym drobnym zielonookim rudzielcu. Przez cały dzień spoglądała na niego takim wzrokiem, jakby był kawałkiem mięsa, który zbyt długo leżał na słońcu.

Uśmiechnął się i pokręcił głową. Przywykł już do nazbyt gwałtownych reakcji kobiet. Nie był zarozumiały, lecz nie był też ślepy. Wiedział, że jest przystojny, ale nie była to jego zasługa. Nie jego także zasługą była fortuna rodzinna, która zapewniła mu niezaprzeczalną pozycję najbardziej pożądanego kawalera na Florydzie i nieustającą uwagę pań.

Z Rachael nie miał jednak szans - pomimo wszystko. Jej reakcja bawiła go i zastanawiała zarazem. Nie znał jej dość długo, aby się jej narazić, więc musiał uznać, że to sama dama ma problemy... i uznał, że bardzo chętnie je rozwiąże.

- Dobrze, możesz już przestać udawać.

Nate przeniósł wzrok na śliczną kobietę, którą trzymał w ramionach.

- Słucham?

Kim Clancy uśmiechnęła się słodko.

- Poszła. Rachael. - Ruchem głowy wskazała podwójne drzwi, gdzie Nate widział ją po raz ostatni. - Poszła, możesz zatem przejść do rzeczy. Co chcesz o niej wiedzieć?

Uśmiechnął się kącikiem ust. Trafiony.

- Tak łatwo we mnie czytać?

- Jak w otwartej książce - odparła z tym samym wesołym uśmiechem.

- Przepraszam. Masz do mnie żal? Spojrzała na niego szczerze.

- Miałabym, gdybyś skrzywdził Rachael. Ona nie jest graczem, Nate. Pod tą skorupą i drutem kolczastym jest delikatna. Zatem - ciągnęła, obrzucając go taksującym wzrokiem - jeśli masz ochotę na zabawę, to jako jej przyjaciółka radzę ci, znajdź sobie inny ruchomy cel.

Nie wiedział, co Kim ma na myśli, ale nie miał zamiaru ćwiczyć swych zdolności na osobie, która potrafiła wzbudzić w innej kobiecie taką lojalność.

- Może pójdziemy gdzieś pogadać? - zaproponował, obejmując ją ramieniem i sprowadzając z parkietu.

- O Rachael?

- Cóż mogę powiedzieć? - zaśmiał się, widząc jej pozbawione współczucia spojrzenie. - Bądź dobrym kumplem. Opowiedz mi o niej.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Poniedziałek po ślubie Karen był jednym z tych dni, które Rachael zarazem lubiła i których się bała. O 7:15 przekroczyła ozdobne obrotowe drzwi hotelu Royal Palms gotowa do pracy. Teraz zbliżała się pora lunchu, a ona nadal nie miała czasu głębiej odetchnąć.

Zaledwie doszła do szczytu schodów - wołała iść pieszo, niż jechać windą - i weszła do biura na drugim piętrze, Sylvie Baxter ostrzelała ją pytaniami jak karabin maszynowy. Czy pamięta, że ma spotkanie z szefem nowej drukarni, który chce zabrać robotę o 8:30? Czy degustacja na przyjęcie ślubne Jennerów wciąż ma się odbyć po południu, czy może jej się śniło, że została przesunięta?

Czy Rachael wie, że Alejandro, drugi kucharz z restauracji na trzecim piętrze, uciekł z żoną kierownika? Nie zapomnij zadzwonić do Sanbournów i ach, pani Buckley jest na linii pierwszej.

Trzy lata temu Rachael namówiła zarząd hotelu, aby rozszerzyć Brides Unlimited - elegancką firmę mieszczącą się w hotelu Royal Palms - do pełnej ob-



sługi ślubów i wesel. Pod jej kierownictwem zyski firmy w ciągu jednego roku zwiększyły się o dwadzieścia procent, a wtedy poprosiła o zgodę na zatrudnienie asystentki. Sylvie, wdowa po sześćdziesiątce, była najlepszą osobą na tym stanowisku.

Ciężka praca opłacała się. Interes kwitł. Projekcje przewidywały wzrost zamówień o dalsze piętnaście procent w kolejnym kwartale - może trzydzieści pięć procent na rok - a był dopiero marzec.

Dziś jednak czas pędził zdecydowanie zbyt szybko. Głównie z powodu ostatniej rozmowy telefonicznej.

Rachael siedziała przy biurku z dłońmi złożonymi w piramidkę. Nosowy głos pani Buckley sączył się do jej uszu przez słuchawki. Gweneth Buckley była prawdziwą jędzą. Przedstawiała jednak sobą najwyższą fakturę od czasu istnienia firmy i być może przepustkę Brides Unlimited do śmietanki towarzyskiej Palm Beach. Jeśli pani Buckley spodoba się organizacja ślubu córki, wieść o tym rozniesie się nie tylko wśród starej gwardii Palm Beach, lecz również wśród nuworyszy. Interes będzie się rozwijał. Był to główny powód, dla którego Rachael zignorowała fakt, że było już prawie pół do dwunastej, a Gweneth dzwoniła już czwarty raz i za każdym razem proponowała kolejną zmianę w planach przyjęcia

Rachael poprawiła słuchawki, spojrzała na zegarek i zaczęła się zastanawiać, czy nie będzie musiała odwołać umówionego lunchu z Kim. Nie widziała się

i nie rozmawiała z przyjaciółką od ślubu Karen i w głębi duszy zastanawiała się, jak skończyła się sprawa z panem Wspaniałym. Nie, Nate McGrory jej nie interesował, ale Kim - owszem.

- Tak, pani Buckley - zgodziła się uprzejmie. -Z przyjemnością zastąpimy mignardises crème brûlée Grand Marnier. Doskonały wybór na deser. -W tym momencie naprawdę niewiele ją obchodziło, czy goście pani Buckley będą jedli płonący krem waniliowy, czy owoce w czekoladzie, trufle i ciasteczka z Europy. Potrzebowała tylko decyzji, którą mogłaby przedstawić cukiernikowi.

- Przepraszam, słucham? - zapytała, kiedy zorientowała się, że straciła kontakt. - Och tak, tak. Wynegocjowałam kontrakt z Butterflies, Inc., który zmieści się w pani budżecie. - Odetchnęła głęboko i ostrożnie zaczęła: - Pani Buckley, dokonała pani wspaniałego wyboru, włącznie z ostatnimi zmianami. Rozumiem, jak bardzo pani pragnie, żeby wszystko wyszło doskonale. Ślub będzie prawdziwym wydarzeniem, pani córka będzie wyglądała zachwycająco.

W dziesięć minut później zdołała wreszcie oderwać się od telefonu. Właśnie zdejmowała słuchawki, kiedy Sylvie zaskrobała w drzwi i wsadziła głowę do środka.

- Gość na lunch - oznajmiła z przebiegłym uśmiechem.

Zdziwiona rozbieganymi oczami Sylvie, zmierzyła

ją wzrokiem. Przecież lunch z Kim nie był żadną szczególną okazją. Zawsze spotykały się w poniedziałki.

- I co?

- I... myślałam, że światełko linii nigdy nie zgaśnie.

- Pani Buckley - westchnęła Rachael, jakby to wystarczyło za całe wyjaśnienie.

- Nie musisz nic więcej mówić. Cóż... hm... to może już idź na lunch - radośnie odparła Sylvie.

Rachael nie miała czasu zastanawiać się nad porozumiewawczym uniesieniem brwi Sylvie, nim ta cofnęła głowę.

Włożyła granatowy żakiet z godłem hotelu Royal Palms na kieszonce na piersi i wygładziła spódnice. Szukając w torebce okularów przeciwsłonecznych, pospiesznie opuściła gabinet.

- Szybko - mruknęła, nie podnosząc głowy. - Uciekajmy, zanim zadzwoni z kolejną zmia...

- urwała w pół słowa i pół kroku, zatrzymując, się jak wryta w drzwiach.

To nie była Kimmie.

Z jedną ręką na framudze Rachael obróciła się ku Sylvie, która łypała zaciekawionym wzrokiem to na nią, to na mężczyznę niedbale rozpartego na chromowanym fotelu z malinowymi obiciami.

Kosztowna ciemnoszara koszulka polo Nate'a McGrory'ego zgrabnie podkreślała jego szerokie ra-

miona. Wąskie biodra i długie nogi opinały czarne spodnie. Bardzo męski, niedbały szyk. Wyglądał nawet lepiej niż w eleganckim fraku. Może miały z tym coś wspólnego opalone na ciemny brąz, lśniące muskularne ramiona. Może to ona powinna zamknąć usta, zanim zaczniesz się ślinić. I koniecznie powinna wziąć się w garść. Spojrzała na Sylvie oskarżająco.

- Gdzie Kimmie?

Sylvie wsunęła ołówek w krótkie, modnie obcięte, szpakowate włosy i skinięciem oddała głos Nate'owi.

- Z przykrością musiała odwołać spotkanie - wyjaśnił Nate, podnosząc z fotela całe metr osiemdziesiąt pięć kompletnie doskonałego ciała. - Zgodziłem się ją zastąpić. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- Wiesz - odparła, zmuszając się do złośliwego uśmiechu. - To bardzo miłe z twojej strony, naprawdę... ale właśnie sobie przypomniałam, że mam inne spotkanie poza biurem. Za chwileczkę.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej .

- Zawiozę cię. Po drodze możemy coś zjeść. Nie chciałbym, abyś straciła lunch.

Miał bardzo ciemne oczy i bardzo ciepły uśmiech. Ciepłe były też jej policzki. Miała już serdecznie dość swoich reakcji nastolatki.

- Sylvie, czy możesz sprawdzić w terminarzu? Może się pomyliłam. Może to spotkanie jest w hote-

lu? Za pięć minut, tak? - dodała, śląc niemą prośbę: „Powiedz, że to prawda, skłam dla mnie, albo będziesz żałować do końca życia”.

Sylvie zamrugła i uśmiechnęła się niewinnie jak niemowlę.

- Nie. Masz tylko zaznaczony lunch z Kim.

Jutro nie będziesz żyła, zapewniła ją Rachael wzrokiem, który na asystentce nie zrobił najmniejszego wrażenia - jeśli nie Uczyć jeszcze szerszego uśmiechu.

Usłyszała za plecami śmiech Nate'a. Jego dźwięk działał na zmysły i - ku jej wielkiej irytacji - przyprawił ją o przyspieszone bicie serca.

- Dajmy spokój, panno Pomysłowa. Zdaje się, że jesteś na mnie skazana. Chyba będziesz musiała się poddać i robić dobrą minę do złej gry. Nie wiem, czy o tym słyszałaś, ale podobno jestem doskonałym kompanem na randkach - dodał z jednym z tych zabójczych uśmiechów, które doskonale pamiętała ze ślubu... i swoich snów.

- To nie jest randka - wykrztusiła.

- Jeśli w ten sposób zniesiesz to łatwiej... - zgodził się uprzejmie i dotknął dłonią jej pleców. - Możesz to nazwać, jak sobie życzysz. Mnie by się tam podobało, gdyby to była...

- To nie jest randka - powtórzyła surowym tonem. Miała nadzieję, że nie przeziera przez niego desperacja, która ją ogarnęła.

Rzuciła podejrzenie rozbawionej Sylvie kolejne

mordercze spojrzenie. Ta kobieta świetnie się bawiła. Dobrze. Wystarczy.

- Wracam o pół do pierwszej - oznajmiła i, czując niemal odruchową potrzebę usunięcia się spoza jego zasięgu, ruszyła w kierunku drzwi.

Nie, jego dotyk nie budził w niej odrazy. Wręcz przeciwnie. Ten lekki, ale zaborczy i typowo męski gest, ledwie dotknięcie końców palców w okolicy krzyża nie sprawiał jej przykrości. Budził w niej dreszcz - i klimatyzacja, podkreślona na maksimum ze względu na uderzenia gorąca przeżywane przez Sylvie, nie miała z tym nic wspólnego.

Dobrze, to co właściwie tu robię? - zastanawiał się Nate, kierując się na zachód Royal Palm Way. Obok niego siedziała bardzo milcząca Rachael Matthews, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń i dłońmi skromnie splecionymi na kolanach.

Siedziała tak sztywno, że równie dobrze mogłaby mieć na sobie mundur policyjny zamiast szafirowej spódnicy i żakietu, które były urzędowym strojem wszystkich pracowników hotelu Royal Palms. Biała bluzka i czerwony krawat starannie zawiązany pod szyją miały stwarzać wrażenie szykowne, a jednocześnie profesjonalne. I tak rzeczywiście było. Tyle tylko, że... obcisły kostiumik podkreślał wdzięczne krzywizny ciała Rachael w sposób absolutnie zaprzeczający pojęciu profesjonalizmu.

Była w każdym calu tym ślicznym, smakowitym kąskiem, który tak ładnie się prezentował w różu na ślubie Sama. Szczerze mówiąc, nie mógł pozbyć się z pamięci jej postaci otulonej w krepę. A teraz zastanawiał się, jaką bieliznę można nosić pod tym eleganckim mundurkiem. Domyślał się, że koronkową, coś cieniutkiego, kobiecego, a może nawet ciut perwersyjnego. Całe jej zachowanie było ogromnie zmysłowe, niezależnie od wszelkich prób przybrania profesjonalnego wyglądu.

W sobotni wieczór dama potraktowała go z lodowatą obojętnością. Nie była wówczas zainteresowana i dała mu to do zrozumienia wielkimi literami. Teraz również nie była zainteresowana - z wieloma wykrzyknikami na końcu zdania.

Jej reakcja jednak nie zmieniła faktu, że on był zainteresowany, i to bardzo. Nie tylko opakowaniem, lecz również zawartą w nim osobą.

Zatrzymał się na czerwonym świetle. Czy o to właśnie chodziło? O wyzwanie?

Obserwował ją przez większość przyjęcia. Jej wzruszający toast do Karen wycisnął łzy z oczu większości kobiet, a kilku mężczyzn - w tym i jego - zmusił do odchrząknięcia. Jak kobieta z takim potencjałem uczuć mogła się wyrzec mężczyzn? I jak to możliwe, że ta właśnie kobieta, która przygotowywała innym kobietom wejście w życie „długo i szczęśliwie”, nie pragnęła go dla siebie?

Spojrzał na nią kątem oka i uśmiechnął się mimo woli. Słońce podświetlało jej profil. Była taka śliczna.

Spojrzał w lusterko i zmienił pas. „Śliczna”, było dość prostym określeniem tak intrygującej istoty, lecz mówiąc szczerze, pasowało do niej najlepiej. Nie była olśniewająca, nie w sensie bogini, choć jej wielkie, szeroko rozstawione oczy - zielone jak szkło i tak samo przejrzyste - lśniły inteligencją i dumą. Nie była też osobą, którą większość ludzi uznałaby za piękną, choć jedwabisty połysk miedzianych włosów sprawiał, że człowiek marzył tylko o tym, by zanurzyć w nich dłonie.

Usta miała zbyt szerokie, wargi zbyt pełne, aby je uznać za klasycznie doskonałe. Nos krótki, słodki i uroczy. Uśmiechnął się znowu i pomyślał, że mężczyzna, który nazwie ją „uroczą”, ryzykuje życie. Albo „słodką”.

Nie, panna Rachael Matthews nie uważała się za uroczą. Za wytworną, z pewnością. Za profesjonalistkę, absolutnie. Za dynamiczną też. I to wszystko była prawda.

I to, że jest śliczna.

A jemu całkiem odjęło rozum.

- Muszę być z powrotem za czterdzieści pięć minut - poinformowała go sztywno, kiedy dotarli do West Palm.

- Masz poganiacza niewolników za szefa? - zapytał konwersacyjnym tonem.

- Bardzo ciężki dzień.



- Więc chyba dobrze ci zrobi parę minut poza pracą. Nabierzesz sił na popołudnie.  
Żadnej odpowiedzi; Nie, nie spodziewał się, że ją usłyszy. Doczekał się reakcji dopiero wtedy, kiedy ustawił się w kolejce do okienka dla kierowców w fastfoodowej restauracji. Uśmiechnęła się, ale widział, że uczyniła to wbrew woli.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała nieco mniej zdenerwowanym i łagodniejszym głosem.

- Przykro mi, nigdy nie zdradzam moich informatorów. Ale chyba mieli rację? Wyglądasz na dziewczynę, która lubi kawior i trufle, ale w głębi serca kochasz fast food.  
W odpowiedzi przekrzywiła tylko głowę.

- Proszę o numer czwarty. Uśmiechnął się i wychylił.

- Dwie czwórki proszę, ale duże, dobrze? Kiedy znów na nią spojrział, wyglądała przez okno.

Nie musiał widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, że się uśmiecha.

Punkt dla bohatera pozytywnego, pomyślał radośnie i podjechał do kasy. Sprawy przybierały coraz lepszy obrót.

- Więc jak to jest? Czy tylko mnie traktujesz jak toksyczny odpad, czy wszystkich prawników ogólnie?

Wjechali drogą powrotną na Palm Beach i zosta-

wili samochód na parkingu ciągnącym się wzdłuż Ocean Boulevard. Rachael pozostawiła zakiet w wynajętym czarnym aucie, oddając tym samym hołd ciepłemu marcowemu słońcu. Siedzieli obok siebie na ławce przy falochronie, patrząc na ocean i jedząc lunch, po którym z pewnością Rachael dostanie po południu śpiączki węglowodanowej. Ale nie teraz, nie teraz. Teraz jej wszystkie zmysły były jak nakręcone. Ten człowiek wzbudzał w niej takie reakcje, jakich nigdy by się po sobie nie spodziewała, dopóki nie będzie na nie gotowa. A nie jest. Jeszcze nie. Może nigdy nie będzie. Może udowodni, że nie potrzebuje do szczęścia nikogo, oprócz siebie samej i swojej pracy.

Daleko w dole, u stóp drewnianych stopni i poza pasem zaśmieconego piasku przetaczały się wzburzone fale Atlantyku. Lśniące od olejków ciała spoczywały na kolorowych jak klejnoty ręcznikach, kąpiąc się w słońcu Florydy. Na horyzoncie majaczyły lśniące białe plamy kosztownych jachtów i statków wycieczkowych.

Za plecami mieli ruchliwy chodnik i ulicę. Jej hałas mieszał się z szumem morza, wyciem wiatru i krzykiem krążących mew, lecz świat Rachael zamykał się w tej chwili wokół jednego człowieka, który siedział obok i ze smakiem jadł lunch, nie zdając sobie sprawy z jej zażenowania. Nie chciała tak reagować, lecz od przyjęcia weselnego nieustannie

uświadamiała sobie jego obecność, ciemne oczy błędzące po jej twarzy, otaczający go zapach cytrusów, soli i męskiego ciała.

- Co właściwie przytrafiło się Kim? - spytała. Włożył frytkę do ust, przeżuł, po czym przełknął,

nie odrywając wzroku od fal. Obserwowała, mimowolnie zafascynowana ruchem mięśni jego szczęki, zaintrygowana małą blizną na czole i ruchliwymi wargami, skorymi do uśmiechu i żartów.

- Zadzwoń i zapytaj, czy uważa, że dałabyś się namówić na lunch ze mną, a ona bardzo wspaniałomyślnie zaproponowała, żebym ją zastąpił.

Powiedział to tak swobodnie, że ogarnął ją gniew.

- Kimmie jest wyjątkowa - rzekła. - Nie jest kimś, z kim można się zabawić, a potem odrzucić.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Hej, lubię Kim. Jest świetną dziewczyną.

- Więc dlaczego jej nadskakujesz, a potem robisz w tył zwrot i umawiasz się ze mną?

Przekrzywił głowę, kiedy wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Mówisz o przyjęciu.

- Wydawaliście się zapatrzeni w siebie.

- A ja tylko wypytywałem ją o ciebie. I muszę dodać, że bardzo chętnie udzieliła mi wszelkich informacji.

- Mogłeś zapytać mnie.

- A ty odpowiedziałabyś? - Prychnął i połknął je-

szcze jedną frytkę. - Nie sądzę. Uciekasz jak królik, kiedy tylko znajdę się o przecnicę od ciebie.

- Nie uciekałam. Unikałam cię tylko. To różnica. Większość mężczyzn uznałaby to za znak, że nie jestem zainteresowana...

Uśmiechnął się rozbrajająco, strzepując sól z palców.

- Nie jestem większością mężczyzn. A ty jesteś zainteresowana.

Nie, nie był większością, pomyślała posępnie i odwróciła wzrok w stronę oceanu. I chciała, aby się mylił. Chciała nie być zainteresowana. Nie miała czasu na zainteresowanie. Nie mogła sobie pozwolić na zainteresowanie.

- Chciałbym cię poznać, Rachael - rzekł łagodnie. - Czy to coś złego?

Potrząsnęła głową, zdecydowana nie zmieniać zdania.

- Słuchaj, Nate...

Przerwał, kładąc dłoń na jej policzku. Powoli odwróciła głowę i przełknęła ślinę, kiedy odgarnął z kącika jej ust niesforny kosmyk włosów.

- Czego się boisz?

Wstała, zwinęła w kulę torebkę z ledwie tkniętym lunchem i wrzuciła do najbliższego kosza na śmieci. Nie bała się. Nie o to chodziło;

- Powiedzmy, że w tej chwili to nie jest najlepszy moment dla mnie, i zapomnijmy o całej sprawie, dobrze?

Przez chwilę milczeli oboje, potem usłyszała, że Nate wstaje.

- Kiedy zatem będzie najlepszy moment? Kiedy jego cień padł na nią, wstała i podeszła do mola, jak najdalej od niego. Wbiła wzrok w przetaczające się bałwany, czując w ustach sól, a we włosach wiatr od morza.

Pożeracz serc. Chodzący pożeracz serc, a ona była zbyt mądra, żeby pozwolić sobie na cierpienie, jakie może jej zadać.

- Kiedy po raz ostatni miałaś kogoś? - zapytał, opierając się biodrem o mur. Zwrócony plecami do oceanu skrzyżował ramiona na piersi i uważnie spoglądał jej w twarz. - Kiedy? - zapytał miękko z wyrazem twarzy tak pełnym szczerego zainteresowania, że z przerażeniem stwierdziła, iż chce mu powiedzieć.

Dość dawno, aby wiedzieć, że nie potrafię się otworzyć i zbudować prawdziwego związku.

Dość dawno, aby wiedzieć, że nie nadaję się do życia w parze.

Uznała, że im krócej, tym lepiej.

- Dość dawno - odparła.

- Chyba to najwyższy czas, żeby zacząć znowu, nie sądzisz? - jego głos był głęboki, przepojony przekonaniem, że to on jest tą właściwą osobą, z którą powinna spróbować od nowa.

Musiała zebrać wszystkie siły, żeby potrząsnąć głową.

- Nie, nie sędzę.-Kiedy jednak jego twarz nie zmieniła wyrazu oczekiwania, dodała: - Słuchaj... zdaje się, że przesadzasz. Po pierwsze, jesteś o wiele za szybki. Po drugie, nie jestem zainteresowana. A jeśli te dwie sprawy nie wystarczą, nie wychodzą mi związki. Urwała, z przerażeniem stwierdzając, że zalewa się rumieńcem. Cóż za dobór słów. Związki. No cóż, to go powinno odstraszyć. Mężczyźni tacy jak Nate McGrory nie wiedzą, co to związki. Przelotne miłostki, romanse, kolacje ze śniadaniem. Właściwie sam dźwięk tego słowa powinien sprawić, że spakuje zabawki i, podobnie jak wszyscy inni przed nim, przeniesie się do innej piaskownicy.

Lecz kiedy podniosła wzrok, ze zdumieniem stwierdziła, że wciąż przygląda jej się uważnie.

- Dlaczego? - zapytał tak cicho, że musiała wyteńczyć słuch, aby usłyszeć go poprzez szum wiatru i gwar ulicy za plecami.

- C-co dlaczego?

- Dlaczego nie wychodzą ci związki? Zaśmiała się nerwowo, tracąc kontenans. Związki wymagały, aby dawała z siebie coś, czego nie miała. Wymagały otwarcia się na kogoś, obnażenia się. A to się nie mogło stać.

- Jak zwykle... za wiele, za zmienne i zbyt nudne...

- Spróbuj ze mną.

Przezcesała nerwowo włosy palcami, odetchnęła głęboko.

- Słuchaj, Nate - rzekła, zbierając siły i zmuszając się, by spojrzeć mu w oczy. - To bardzo mi pochlebia. Jesteś świetnym facetem... jesteś bardzo miły, ale ja po prostu nie mam ochoty... wplątywać się w cokolwiek - dokończyła, uznając, że to słowo obejmuje całą gamę różnych możliwości.

Oczy mu pociemniały. Odepchnął się od muru i delikatnie ujął ją za ramiona wielkimi dłońmi.

- Proszę tylko, żebyś się nad tym zastanowiła. Zastanów się nad możliwością... wplątania się w coś.

- Uśmiechnął się łagodnie, nieco przekornie.

- A kiedy będziesz się już nad tym zastanawiała

- szepnął, obserwując jej twarz, gdy pochylał się nad jej wargami - przy okazji pomyśl i o tym.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Rachael powinna była się tego spodziewać. Powinna była to wyczuć, kiedy silne dłonie Nate'a objęły jej ramiona. Może nawet tak było. Może wiedziała, że tak się stanie, i powinna była się sprzeciwić.

Nie zrobiła tego. Stała nieruchomo, pozwalając, aby stała się ta najgorsza rzecz, jaka mogła jej się przydarzyć.

Jego ciemne oczy, okolone gęstymi, długimi rzęsami, badały jej twarz, wciąż jeszcze dając jej możliwość ucieczki. Pochylił się nad nią. Tak, gdyby dała mu choć najdrobniejszy znak, cofnąłby się. Ona jednak stała nieruchomo, czekając na to, co się stanie.

Pierwsze dotknięcie jego ust było elektryzujące. Delikatnie, zmysłowo elektryzujące. Zaledwie muśnięcie ustami. Nie miało nic wspólnego z badaniem - był to raczej wstęp, obietnica, łagodne powitanie, które obudziło w niej kobiece pragnienia, jakich już się wyrzekła. Nie miała racji. Tęskniła za nimi. Tęskniła za tą nieprzyzwoitą falą tęsknoty, słodkim biciem serca.



Usłyszała westchnienie i zdała sobie sprawę z tego, że to jej własny głos, gdy jego usta wygięły się w uśmiechu. Nagle zdecydowanie przyciągnął ją do siebie i zamknął w objęciach. Takiego pocałunku nie doświadczyła nigdy w życiu.

Ogarnęła ją rozkoszna tęsknota i namiętność, uniemożliwiając jakiegokolwiek protesty. Uniosła ją w grubym kokonie wrażeń zbyt bogatych, by je nazwać, zbyt pochłaniających, by z nimi walczyć. Nie była świadoma, że objęła go ramionami w pasie i wtuliła się w niego. Czuła tylko żar. Jego. Swoj.

„Upojny” było doskonałym określeniem dla tego pocałunku. Rachael czasem pozwalała sobie na szklaneczkę wina, lecz nigdy nie korzystała ze stymulatorów chemicznych. A jednak teraz czuła się jak pod wpływem silnego narkotyku. Dlaczego właściwie pozwoliła sobie na takie odsłonięcie? Dlaczego pozwala mu się bawić swoimi ustami, szczypać, kąsać, łaskotać, aż jej ciało przeszywały wstrząsy podobne do elektrycznych? Zapomniała o całym świecie, pozwalając wciągnąć się w wir jedwabistego żaru i słodkiego pożądania.

Nate nie żądał od niej więcej, niż chciała dać. Igrał z jej ustami, smakował je, badał, kusząc, drażniąc i zapraszając do zabawy. Nie mogła się oprzeć.

Z głębokim westchnieniem oderwał się od niej na chwilę i podniósł ją lekko, sadzając na murku. Czas, miejsce, otoczenie - wszystko to straciło dla niej zna-

czenie w jego ramionach, w ciepłe dłoni otaczających jej biodra.

Obłok rozkoszy, w którym się unosili, rozproszyły nagle dzikie pohukiwania i gwizdy.

Odgłos deski i rolek, a potem oddalające się: Bierz się za nią, chłopie! - zmusiły ją wreszcie do otwarcia oczu. Przerwała pocałunek, zamrugła, wpatrując się w jego ciemne źrenice, senne, mroczne i najwidoczniej pełne zachwytu z tak nieoczekiwanego obrotu sprawy.

Przesunął dłonie, delikatnie gładząc jej plecy.

- No cóż - szepnął, przyciskając czoło do jej czoła, i uśmiechnął się do niej. - Nieźle, nieźle, nieźle...

Teraz będzie już wiedział, że jeden ognisty pocałunek Rachael Matthews - nie uniknęło jego uwagi, że i ona dołożyła co nieco do tego żaru - nie będzie podsumowaniem ich stosunków fizycznych.

Uznał, że najwyższy czas, aby i ona zdała sobie z tego sprawę. Pochylił się, aby pocałować ją jeszcze raz, kiedy szybkie dotknięcie jej dłoni, wsuniętej pomiędzy nich, powstrzymało go.

- Co się stało? - zapytał, choć wcale nie był zainteresowany, dlaczego protestuje.

Właściwie nie obchodziły go jej słowa. Właśnie dała mu do zrozumienia, co czuje.

Pragnęła tego tak samo, jak on. Nie musieli się zastanawiać, dlaczego było to tak spontaniczne i intensywne. Powinni po prostu dać się temu ponieść.

- Nic z tego - rzuciła i tym razem podniosła rów-

niez drugą rękę, aby podjąć niepewną próbę odepchnięcia go od siebie. - Nie całuję się z mężczyznami, których zaledwie znam. I nie mam zwyczaju robić z siebie widowiska w miejscach publicznych.

Czułby się zapewne winny, gdyby nie był tak zachwycony jej drżącym głosem.

Niewzruszona panna Matthews była zdecydowanie wstrząśnięta. A jeszcze bardziej uradowało go to, że właściwie przyznała, iż nie każdy mężczyzna potrafi wprowadzić ją w taki stan. Tylko on.

- Jak na osobę, która nigdy tego nie robi - rzekł, czując, że znów się uśmiecha - robisz to wyjątkowo dobrze.

- Puść mnie - poprosiła ostrożnie, ale bez przekonania.

Nie chciał tego, ale poczuł, że znów się uśmiecha, i spełnił jej żądanie. Był zdumiony, że właściwie uśmiecha się przez cały czas. I nie wiedział dlaczego. Widocznie miała w sobie coś takiego. Coś nieoczekiwanie kuszącego, niewiarygodnie pociągającego, nieoczekiwanie podniecającego i wrażliwego, ukrytego pod starannie skonstruowaną fasadą, która miała ukryć jej prawdziwe uczucia.

Zainteresowanie, jakie w niej wyczuł, intrygowało go mocno. Nie dotyczyło ono wyłącznie sfery erotycznej - choć musiał przyznać, że bardzo mocno naruszyła jego samokontrolę. Było to coś więcej. Lubił ją. Czuł taki pociąg do kobiety po raz pierwszy od czasów Tii.

Wspomnienie o Tii sprawiło, że oprzytomniał. Do tej pory starał się eliminować ją z równania. Do tej pory. Kochał Cię. Zawsze będzie ją kochał. Niestety, nigdy nie będzie jej miał i tylko dlatego nie dopuszczał do siebie myśli o tej miłości. Jego miłość do Tii nie przeszkadzała mu rozkoszować się towarzystwem innych kobiet, lecz powstrzymywała go przed zawieraniem trwałych związków. Nie. Nie chciał pójść tą drogą. To nie było uczciwe ani wobec kobiety, ani jego samego.

Dlaczego zatem jeszcze przed chwilą szeptałeś coś o tym, jak bardzo chcesz poznać ją lepiej? Dlaczego nie skorzystasz z aluzji, jakie posyła ci Rachael. Nie miał pojęcia, czemu tak bardzo chce zerwać z niej ten grzeczny mundurek hotelu Royal Palms.

- Pozwól mi zaprosić cię dziś wieczorem na kolację - rzekł nagle.

- Nie.

Zaśmiał się na tę natychmiastową i zdecydowaną reakcję, po czym delikatnie ujął ją za rękę.

- Nawet się nad tym nie zastanowiłaś.

- Nie muszę się zastanawiać. Słuchaj, teraz po prostu mnie zaskoczyłeś. - Wyrwała dłonie i zsunęła się z murku, obciągając spódnicę i poprawiając bluzkę. - Ale to... - urwała, szukając właściwych słów.

- Ten niewiarygodny, oszłamiający, piekielnie erotyczny pocałunek, którym rozkoszowałaś się w każdym calu tak samo, jak ja? - podpowiedział i wyciągnął rękę, aby poprawić jej krawat.

- Nazwij to, jak chcesz. - Odepchnęła jego dłoń, oblewając się rumieńcem. - To była pomyłka. Nie znam cię prawie.

Wyciągnęła dłoń po okulary, po czym odwróciła się na pięcie i pomaszzerowała w kierunku samochodu.

- Nathan Alejandro McGrory, drugi syn Glorii Sanehez McGrory i Ryana Nathaniela McGrory'ego, urodzony w Miami, trzydzieści dwa lata temu, w lipcu - wyrecytował, postanawiając, że będzie się martwił później pytaniami i konsekwencjami. - Mój brat nazywa się Antonio Nicholas McGrory, a jego żona ma na imię Tia. Są małżeństwem od pięciu lat i mają dwoje pięknych dzieci.

Posłała mu ponure spojrzenie ponad dachem auta. Ale on tylko uśmiechnął się i pilotem otworzył drzwi.

- Skończyłem Ohio State, potem wydział prawa na Harvardzie. Zatrudniłem się w rodzinnej firmie dostawczej, pracując jako radca prawny, po czym pięć lat temu stworzyłem własną firmę prawniczą... nadal w Miami. Mam wszystkie własne zęby, biegam pięć kilometrów dziennie i jestem zdrowy jak koń. Jeśli jeszcze nie będzie ci przeszkadzało, że do tej pory śpiam z misiem, Tedem, można mnie uznać za całkiem normalnego faceta.

Mam cię, pomyślał, kiedy kącik jej ust uniósł się w uśmiechu.

- Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Chciałabym wiedzieć - odparła, przybierając ten sam surowy wyraz twarzy - co mam zrobić, żeby cię przekonać, że nie jestem zainteresowana.

Rzucił jej ukośne spojrzenie i ruszył w kierunku Royal Palms, trzy przecznice dalej.

- Co za chłodna reakcja. O wiele chłodniejsza niż reakcja na pocałunek.

Ciężkie milczenie wypełniło wnętrze samochodu, kiedy wjechali w kolistą podjazd Royal Palms i zatrzymali się przed wejściem.

- Zegnam, panie McGrory - powiedziała i wysiadła. - Dziękuję za lunch.

- Zadzwoń do ciebie! - zawołał w ślad za nią, gdy biegła po szerokich, wspaniałych schodach kii rzędowi czterech lśniących, połyskujących złoceniami i szkłem drzwi obrotowych.

- Nie rób sobie kłopotu - rzuciła przez ramię.

- Żaden kłopot - szepnął do siebie, kiedy znikła wewnątrz wytwornego hotelu. Siedział przez dłuższą chwilę, zanim wreszcie wrzucił bieg. Cholera, stracił ochotę na uśmiech. - Naprawdę żaden kłopot.

- No i co? - Sylvie stała w drzwiach gabinetu Ra-chael, jakby chciała od razu zasypać ją pytaniami, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Wreszcie zdecydowała się na: - Jak tam lunch?

Rachael wrzuciła torebkę do lewej dolnej szuflady biurka i ciężko opadła na krzesło.

Musiała usiąść. Jej

kolana były zbyt drżące, aby utrzymać ją jeszcze choć przez chwilę.

Ależ ją przeraził. Śmiertelnie. Dotarł do niej, a ona teraz musiała jakoś odzyskać kontrolę nad sobą.

Oparła łokcie na blacie biurka, złożyła dłonie przed sobą i rzuciła asystentce złośliwy uśmiech.

- Poczekaj, jak będę cię kryła, kiedy Edward z księgowości przyjdzie z tobą pogadać.

Pamiętasz Edwarda, tego z beznadziejnym przypadkiem łupieżu i mokrym, pełnym flegmy kaszlem? Edwarda, który wyczynia cuda, żeby zczesać dziesięć tłustych kosmyków na świecąca łysinę? Zauważyłaś, jak mu oczy wylazą na wierzch, kiedy słyszy twoje imię? -

Ra-chael rozparła się w fotelu, splotła palce na brzuchu i rozkoszowała się przerażonym wyrazem twarzy Sylvie. - Nie tylko nie zamierzam cię kryć, ale wręcz zaprowadzę go na koniec świata, żeby cię znalazł. Będę tak obrazowo wychwalała twoje cnoty, lub ich braki że facet zaślini sobie muszkę, zanim cię odnajdziemy. I - dodała, wskazującym palcem celując w Sylvie, która daremnie próbowała jej wpaść w słowo - z wielką przyjemnością opowiem mu, jak marzysz o jego ciele...

- Dobrze, dobrze! - prychnęła Sylvie. - Rozumiem. Jesteś wściekła. Skąd miałam wiedzieć, że całkiem ci odbije? Skąd miałam wiedzieć, że nie będziesz chciała wyjść na lunch z najsmakowszym kawałkiem faceta, jaki widziała damska część ludzkości?

- Och, nie wiem - odparła Rachael, przedrzeźniając jej zmieszanie. - Skąd miałaś wiedzieć? Może z tych aluzji wielkości ciężarówki, które ci podsuwałam? Sylvie machnęła piękną, wypielęgowaną dłonią. Dzisiaj miała szkarłatne paznokcie z maleńcimi flagami amerykańskimi na czubkach.
- No to podaj mnie do sądu. Myślałam, że po prostu miałaś skurcz mózgu. Która zdrowa na umyśle kobieta nie chciałaby wyjść z takim facetem?
- Ta kobieta - powtórzyła Rachael i powiedziała sobie w duchu, że jeśli będzie to powtarzać dość często, może sama w to uwierzy. - On nie jest w moim typie, OK? Sylvie zaśmiała się.
- Och, kochanie, on jest w typie każdej kobiety.
- No cóż, nie mam czasu na takich w typie każdej kobiety.
- Miałabyś, gdybyś nie poślubiła swojej pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę.
- Kocham swoją pracę - zaprotestowała Rachael, wyjmując notes elektroniczny i sprawdzając popołudniowe spotkania z mocnym postanowieniem pograżenia się w pracy.
- Byle tylko nie żyć? - odparowała Sylvie, tym razem całkiem poważnie wpatrując się w oczy Rachael z łagodną troską.
- Czemu wszystkim tak trudno pogodzić się z tym, że kocham moje życie takie, jakie jest?



- Marnujesz się tutaj, Rachael. Jesteś młoda i piękna. Musisz mieć w życiu kogoś specjalnego.
- Nie marnuję się. Żyję z tej pracy. A Nate McGrory nie szuka nikogo specjalnego. Szuka szybkiej, gorącej przygody.
- No i dobrze... co złego jest w szybkiej, gorącej przygodzie, zanim krew ci zastygnie w żyłach? Niech cię trochę podkreśli, co w tym złego? Nie musisz się w nim zakochiwać. Giesz się nim tylko.

Komentarz Sylvie sprawił, że Rachael zamurowało.

- I to mówi kobieta, która przez trzydzieści pięć lat była żoną ukochanego człowieka. A ty mogłabyś to zrobić? Mogłabyś zadowolić się samym seksem i zapomnieć o reszcie?

- Nie mówimy o mnie. Buck i ja... byliśmy bratnimi duszami. Byliśmy jak dzikie kaczki - jeden partner na całe życie. Nie interesowały mnie krótkie, przelotne znajomości bez znaczenia.

- A ty rzeczywiście myślisz, że ja mogłabym?

- Nie - poważnie odparła Sylvie. - Ale kto wie... to się może zmienić w coś więcej.

Widziałam, jak on na ciebie patrzy. Jest naprawdę zainteresowany.

- Naprawdę zainteresowany podbojem. Nie, to nie będę ja. A teraz może skończymy tę rozmowę, czy mam znowu wspomnieć o Edwardzie?

Sylvie wstała.

- Dobrze, dobrze. Twoje życie, twoja sprawa. Da-

visowie będą tu za jakieś pięć minut - dodała, porzucając temat Nate'a. - Dokumenty są na twoim biurku.

- Dziękuję - odparła Rachael i wzrokiem odprowadziła Sylvie do drzwi. - Hej... przepraszam, że wyładowuję na tobie swój zły nastrój. Dzięki. Dzięki za troskę, to dla mnie wiele znaczy.

- Zawsze kończy się na trosce - odparła Sylvie smutno, opuszczając gabinet Rachael. - Nie chciałam się bawić w swatkę, choć pewnie byłabym w tym dobra.

Rachael zaśmiała się, kręcąc głową.

- Jesteś w tym dobra, możesz mi wierzyć, Sylvie była sprawna, wesoła i odrobinę zdziwaczała. Rachael kochała ją. Zawsze mogła liczyć, że Sylvie zrobi, co do niej należy, a przy tym rozśmieszy ją i jeszcze znajdzie czas, aby zapytać, czy wszystko w porządku, kiedy zobaczy w oczach Rachael coś, co wzbudzi jej podejrzenia, że jednak nie wszystko jest tak jak trzeba. W rzadkich chwilach, kiedy Rachael naprawdę wychodziła ze swej skorupy, aby się jej zwierzyć, Sylvie słuchała uważnie, a potem łagodnie pytała, kiedy Rachael po raz ostatni rozmawiała ze swoją matką.

Mimowolnie wzrok Rachael spoczął na oprawionej w ramce rodzinnej fotografii, stojącej na półce z książkami. Powinna być na tym zdjęciu, ale w ostatniej chwili wymówiła się innymi zajęciami i poprosiła, żeby na nią nie czekali.

Po tych wszystkich latach wciąż zaskakiwało ją, jak bardzo pragnie stać się częścią tej fotografii, choć to ona z własnej woli straciła tę szansę, podobnie jak szanse na jakiegokolwiek znaczące kontakty z rodziną. Odepchnęła od siebie tęsknotę za czymś, czego sama sobie umyślnie odmówiła, i z ulgą przyjęła dzwonek telefonu.

- Tak, Sylvie?

- Twoja mama na drugiej linii.

Serce Rachael zatrzymało się na chwilę.

- Cześć, mammo! - zawołała wesoło, wciskając przełącznik.

- Hej, dzieciaku. Jak leci?

- Dobrze. Kupa roboty.

- Dlatego właśnie dzwonię. Chciałam się upewnić, że nie zapomniałaś o obiedzie w czwartek.

Rachael jęknęła. Zapomniała. Prawie.

- Och, mammo, przykro mi. - Usiadła na rogu biurka, czując, jak ogarnia ją poczucie winy. -

Przykro mi - powtórzyła, reagując na pełne rozczarowania milczenie matki. -

Zaplanowałam późne spotkanie... Nie mogę sobie pozwolić na odmowę. Mogłybyśmy to przełożyć? - zapytała szybko, mając nadzieję, że w ten sposób nieco naprawi sytuację.

- Właśnie to zrobiłyśmy ostatnio - przypomniała jej matka. - Nie wiem, kochanie... czasem mi się wydaje, że robisz to umyślnie.

- Wiesz, że to nieprawda. Może zadzwonię w przyszłym tygodniu i coś wymyślimy?

Matka westchnęła ciężko.

- Jasne, kochanie. Jeśli ci to odpowiada.

- Zadzwoń, dobrze?

- Dobrze.

Tylko one dwie wiedziały, że prawdopodobnie nie zadzwoni.

- Znowu odwołałaś obiad, prawda? - zapytała Sylvie zza otwartych drzwi.

Rachael zmusiła się do uśmiechu i odłożyła słuchawkę na widelki.

- Nie odwołałam, po prostu go przełożyłam. Wkrótce się umówimy.

Sylvie ugryzła się w język i skinęła głową.

- Davisowie są tutaj.

- Świetnie - odparła Rachael, ignorując jej powątpiewające spojrzenia. Zmusiła się do promiennego uśmiechu. - Daj mi minutkę i wprowadź ich.

Potrzebowała tej minuty. Minuty, w ciągu której mogłaby sobie przypomnieć, że ma dwadzieścia dziewięć lat - a nie dziewięć i nie tuli się do maminej spódnicy w drodze do najbliższego schroniska dla maltretowanych kobiet, zastanawiając się, dlaczego tatuś jej nienawidzi i prześladowuje w przerażających napadach wściekłości.

Ile razy tak uciekały w środku nocy - dziesięć? dwadzieścia? - zanim matka wreszcie zebrała się na odwagę i przeniosła z Ohio na Florydę, aby raz na zawsze uciec od Calvina Matthews'a? Wtedy były

tylko we dwie. Dwie przeciwko całemu światu, jak mawiała jej matka, całując małą Rachael na dobranoc.

A potem matka spotkała Johna Coopera. Był antytezą Calvina Matthews'a. John był dobry, nie pił. Traktował jej matkę jak królową. Wszystko miało być cudownie. I było, aż do dnia, kiedy w dwa lata później, w roku, kiedy Rachael skończyła dwanaście lat, urodziło się pierwsze śliczne, różowe maleństwo.

Podobnie jak wszyscy, Rachael pokochała Allison do szaleństwa.

- Nie stój tak nad nią przez cały czas - ganiła ją matka. - Nie bądź taka czuła dla niej.

Zostaw jej trochę przestrzeni. Mnie też.

Okazało się, że wszyscy potrzebują trochę przestrzeni od Rachael, która tak bardzo chciała stanowić część tej nowej, pięknej rodziny, że wszystkich doprowadzała do szaleństwa swoim natręctwem.

Stopniowo, w ciągu kilku lat, niepostrzeżenie wyłączyli ją ze swego grona. Rachael była pewna, że jej matka i John nawet nie wiedzą, co się stało. Jak bardzo czuła się skrzywdzona, przypatrując się im. Jak gdyby stanowiła tę część przeszłości, o której matka pragnęła zapomnieć. Nawet kiedy matka wiele lat później zwierzyła się jej, że po narodzinach dziewczynek popadła w ciężką depresję, nawet jeśli Rachael widziała, że depresja ta miała ogromny wpływ na stosunek matki do niej, wciąż odczuwała stratę. Wciąż odpychała ludzi od siebie, zanim oni zdążyli ją odepchnąć.

Dlatego odpowiadała jej praca w hotelu. Mogła spokojnie i z zimną krwią planować śluby i wesela dla ludzi, którzy szybko wychodzili z jej życia. Nie szukali długotrwałej znajomości. Potrzebne im były spektakularne, szybkie rezultaty. Spełniała ich życzenia. I to jej wystarczyło. A przynajmniej chciała, aby tak było.

Kwiaty od Nate'a zaczęły przychodzić następnego dnia rano.

Liścik, który towarzyszył wtorkowym różom, mówił: „Czy wspomniałem, że duże psy i małe dzieci mnie kochają?”

Lilie ze środy kryły w sobie informację: „Powiedz jedno słowo i Ted przejdzie do historii”.

- Ted? - zapytała Sylvie, unosząc brew.

- Jego pluszowy misiek - wyjaśniła, walcząc z szerokim uśmiechem i żałując, że sobie na niego pozwala.

- I co, nic mi więcej nie powiesz na ten temat?

- Ani-ani - odparła z satysfakcją i wróciła do pracy.

- O rany, ten ci się na pewno spodoba - oznajmiła Sylvie następnego dnia, kiedy ze śmiechem przyniosła do gabinetu kolejny egzotyczny bukiet i postawiła na biurku.

- Nie przypominam sobie, żebym ci pozwoliła

czytać moją osobistą korespondencję - warknęła Ra-chael i wyszarpnęła bilecik z wyciągniętej ręki Sylvie. Sztuczny grymas gniewu znikł, kiedy odczytała jego zawartość. Potrząsnęła głową, wzniosła oczy w sufit i wreszcie parsknęła śmiechem. „Moja być silna jak byk”.

- Trzeba to facetowi przyznać. Jest uparty i ma klasę - dodała Sylvie ze śmiechem. - Dzieci i psy go lubią. I jest silny jak byk.

- Hue, hue.

Ale dopiero piątkowy podarek naprawdę zrobił sporą wyrwę w jej sztańcach obronnych. Tym razem nie były to kwiaty, lecz gorący, smakowity posiłek z jej ulubionej knajpki dla kierowców i informacja: „Tam, skąd to pochodzi, jest znacznie więcej dobrych rzeczy”.

- Czy ty przypadkiem nie miękniejesz? - zapytała Sylvie, sięgając do torebki i wyciągając serowe frytki.

O tak. Miękła.

- Nie, wcale nie zamierzam mięknąć. Jestem wściekła.

- To teraz moja kolej na „hue, hue” - odparła Sylvie.

- Doskonale. Masz rację, to mi pochlebia. Ale i tak jestem wściekła.

Sylvie pokręciła głową.

- Ten facet chce dla ciebie poświęcić swojego miśka

- przypomniała, unosząc brwi. - Wierz mi, to nie jest małe poświęcenie - rzuciła, wychodząc z gabinetu.

Rachael zachichotała. Wtuliła twarz w kwiaty. Zjadła frytkę. I powiedziała sobie, że może ją zasypać całą florą i wszystkimi fast foodami świata. Nie zamierza się z nim wiązać. I tak nic by z tego nie wyszło - on w Miami, ona w West Palm. I więcej go z całą pewnością nie zobaczy. Mogłaby się o to nawet założyć i wygrałaby.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwa tygodnie później Rachael przypominała sobie o zakładzie. Nie tylko nie spełniły się jej przewidywania, ale wręcz przeciwnie - widziała Nate'a McGrory'ego i nie mogła tego uniknąć, ponieważ siedział u jej prawego boku i zdecydowanie za blisko, obserwując, jak Karen i Sam otwierają prezenty na przyjęciu, które urządzili po powrocie z podróży poślubnej.

- Sądząc z pozorów, powiedziałbym, że miesiąc miodowy udał się znakomicie - szepnął jej w ucho.

Rachael musiała przez cały czas pamiętać, że nie chce zacieśniać stosunków z Nate'em - ani w rozmowie, ani w przestrzeni - dlatego ze wszystkich sił starała się nie reagować na to, jak wyglądał, jak pachniał i jak się uśmiechał, ani też na sposób, w jaki się pochylał, aż jego szeroka pierś muskała jej ramię.

Najbliższa rodzina i wszyscy uczestnicy przyjęcia weselnego zostali zaproszeni do nowego domu Sama i Karen w Jupiter, na pomoc od West Palm. Młodzi postanowili otworzyć podarunki ślubne i wykorzystać tę okazję do kolejnego przyjęcia. Zjawilo się ponad trzydzieści osób. Po grillu za domem miał się rozegrać mecz

siatkówki, jeśli sędzić z siatki rozpiętej obok basenu. Rachael powiedziano, aby zabrała kostium kąpielowy. Dowiedziała się też, że Nate'a nie będzie.

Był tuż obok. A ona nie mogła przestać myśleć, że jest jeszcze bardziej olśniewający, niż pamiętała.

- Ładnie pachniesz. Mówiłem ci to już?

- Dwa razy - odparła nadąsana i żałowała, że jego upór nie spotyka się z jej strony z bardziej zdecydowaną reakcją. Jej chłód zwykle załatwiał sprawę. Ale nie w jego przypadku.

Przez całe popołudnie obsypywał ją drobnymi komplementami, pilnując, aby nie mogła go zignorować, nawet gdyby chciała.

Spojrzała na niego z ukosa, ujrzała żar w jego roześmianych oczach i szybko odwróciła wzrok, podnosząc szklankę do ust.

- Będziesz mogła grać w siatkówkę w tych butach? - zapytał, opierając podbródek o jej nagie ramię i spoglądając na nią spod grubych, ciemnych rzęs.

Szarpnęła się w przód, poza jego zasięg. Spojrzenie, dotknięcie - i jedno, i drugie było zbyt znajome i zbyt naładowane obietnicami radości i tej głupiej słodyczy, której po prostu nie chciała doświadczyć.

Z udanym zainteresowaniem przyjrzała się swoim sandałom na siedmiocentymetrowych podeszwach.

Mogę grać w siatkówkę nawet w kowbojskich butach - poinformowała go słodkim głosem.

-1 tak przegrasz.

- O, ho ho, kochanie - jego wzrok lśnił nieukrywaniem rozbawieniem - zdaje się, że w twoich słowach wyczuwam wyzwanie.
- Żadnego wyzwania - odparła powoli. - Stwierdzenie faktu.
- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, kochanie - szepnął, aby inni nie mogli go usłyszeć - ale jesteś jakby trochę na straconej pozycji, jeśli chodzi o grę. Jestem dziwnie przekonany, że twoja śliczna główka nie sięgnie nawet dolnej części siatki.
- No, cóż, kochanie - odparła, naśladowując jego ton. - To, czego mi brakuje pod względem wzrostu, nadrabiam szybkością i czystą złośliwością. Powinieneś mieć nadzieję, że będziemy w tej samej drużynie, McGrory.
- Skoro tylko zechcesz się podłączyć, Matthews, gotów jestem do fuzji.
- Wujek Nate! - rozległ się z przeciwnej strony pokoju podniecony głos dziecka. Rachael podniosła wzrok, zadowolona ze zmiany tematu, gdy przez pokój przeleciało około trzydziestu kilo piszczących piegów i powiewających kucyków, i z poplamionym cukierkami uśmiechem i rzuciło się w ramiona Nate'a.
- Emily! - zawołał, zamykając ją w niedźwiedzim uścisku i sadzając sobie na kolanie. Wycisnął na jej policzku soczystego całusa. - Jak się ma moja śmieszka?

- Mam już siedem lat - oświadczył mały cherubinek z ogromną dumą, otaczając pulchnymi ramionkami szyję Nate'a i wpatrując się w niego z nieograniczonym podziwem.

- Siedem? Już? - zawołał z odpowiednią dozą zdumienia.

- Aha, zaraz cię dogonię i będziemy mogli się ożenić. Pamiętasz?

Nate uścisnął ją mocno i roześmiał się.

- Czekam tylko na ciebie, laleczko.

Ten głuputki żarcik sprawił, że Emily z dumy przeszła w absolutny zachwyty.

I sprawił, że serce Rachael rozplynęło się z czułości.

To nieuczciwe. Nate McGrory mógł być przystojny i seksowny, i bogaty, i czarujący... nie zapominajmy też o sile - jak u byka, ale nie musiał doprawdy być łagodny i pobłażliwy dla dzieci. „Duże psy i małe dzieci mnie kochają”. Rachael oparła czoło na dłoni i zastanawiała się, czy przeprowadza też staruszki przez ulicę.

- Będę taka śliczna jak Karen, prawda? - dopytywała się Emily z nadzieją w oczach.

- Na pewno, kochanie. Znasz moją przyjaciółkę, Rachael?

Doskonale. Teraz i ją wciągnie w rozmowę z tym przeuroczym krasnoludkiem i sprawi, że Rachael polubi go jeszcze bardziej.

- Cześć, Emily.

Emily uśmiechnęła się i zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jak myślisz, czy wujek Nate jest przystojny?

- Cóż, wiesz...

- Jasne, że tak - odpowiedział Nate, śmiejąc się ponad czubkiem płowej główki Emily. -

Po prostu jest troszeczkę nieśmiała i nie mówi tego, co myśli. Mam rację, Rachael?

Zmusiła się do uśmiechu pod adresem Emily.

- Tak. Nieśmiała. Właśnie.

- On tak naprawdę nie jest moim wujkiem - wyjaśniła Emily. - Jest przyjacielem wujka

Sama i dlatego nazywam go wujkiem Nate'em, bo jakby był z rodziny. Hej, idziesz

popływać? - zawołała do Nate^, przechodząc do rzeczy ważniejszych i bardziej

interesujących z szybkością, która przyprawiała Rachael o zawrót głowy.

- Jasne - odparł Nate. - Idziesz z nami? - zapytał Rachael z wyraźnym wyzwaniem w

oczach i diabolicznym uśmiechem.

Rachael miała właśnie wygłosić oficjalne: „nie, dziękuję”, kiedy Emily przyłączyła się do próśb.

- Chodź, Rachael, będzie wesoło.

- Jasne - odparł Nate, obrzucając jej ciało spojrzeniem gorącym jak jego głos. - Będzie wesoło. -

- Przebierzemy się teraz w kostiumy. - Emily zsunęła się z kolan Nate'a i chwyciła Rachael

Za rękę. - Mam bikini. Czerwone. A ty?

Milczące, lecz oczywiste zainteresowanie Nate'a jej kostiumem sprawiło, że Rachael zwęszyła kłopoty przez duże K.

O dziesiątej wieczorem Rachael spoglądała przez przednią szybę swego samochodu na Nate'a, który trzymał worek z lodem przy prawym oku. Odetchnęła głęboko, zahamowała na czerwonym świetle i włączyła lewy migacz.

Czuła się nieco winna temu spuchniętemu oku. Kiedy stanęła po drugiej stronie siatki, a jej drużyna straciła pięć punktów, z czego cztery były zasługą króla pikowego, niejakiego McGrory'ego, chciała mu wgnieść ten śliczny uśmiech w dekoracyjną buzię.

Dlaczego? Pewnie głównie dlatego, że poza jego dość bezczelnym zainteresowaniem Rachael ujrzała dziś całkiem inną stronę jego charakteru, o której Karen jej opowiadała, a ona nie chciała uwierzyć.

Był łagodny, cierpliwy, wesoły - prawdziwy harcerzyk. Obrzucił Rachael jednym uważnym spojrzeniem, oceniając jej skromny, jednoczęściowy czarny kostium i wyraz przerażenia na twarzy. Kiedy już sądziła, że znienawidzi go za sposób, w jaki wykorzystuje przeciwko niej małą dziewczynkę, nagle zmienił się w dżentelmena. Jak można się bronić przed tak sprytną taktyką? Prawdziwie miły facet. Ktoś, dla kogo można stracić głowę...

- Jak tam oko? - spytała, czując, że ogarnia ją po-

czucie winy. Tak samo jak przedtem, kiedy musiała niechętnie przyznać, że skoro go pobiła - jego własne słowa - może go przynajmniej odwieźć do hotelu, ponieważ - znów wedle jego własnej oceny - on sam nie jest w stanie prowadzić. Osobiście uważała, że powinien być w stanie prowadzić bez najmniejszych problemów.

W sumie wszystko to było winą Kimmie, myślała z urazą, skręcając na prawy pas.

Kimmie, Karen i Sam, wszyscy oni byli w jej drużynie. Przez większą część pierwszego seta Kim rozpacziała nad złamanym paznokciem. Sam i Karen gorączkowo szukali pretekstów, aby wpadać na siebie i przeproszać się długimi, gorącymi pocałunkami.

Naturalny duch rywalizacji sprawił, że Ra-chael straciła panowanie nad sobą. Ktoś musiał w końcu coś zrobić, żeby uratować honor ekipy. Rachael uznała, że to jej święty obowiązek. Wycelowała więc piłkę wprost w jego twarz.

- Przeżyję - rzekł, a kiedy na niego spojrzała, stwierdziła, że Nate znów ma na ustach ten sam niepoprawny uśmiech. - Porozmawiajmy raczej, jak możesz mi to wynagrodzić.

Sugestia w jego tonie nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do formy zadośćuczynienia.

- Przecież powiedziałam, że mi przykro.

- Ale czy to przeprosiny z głębi serca?

- Całe moje serce włożyłam w serw, który posłałam ci w twarz. Jeśli cię to pocieszy, przeproszałam cię całkiem uczciwie.

- Wystarczy. Chciałem tylko, abyś zrozumiała, że moje dobre intencje przegrają z prawnikiem, kiedy wytoczę ci proces.

- Żartujesz.

- Prawdopodobnie. - Zagłębił się w fotel. Jego długie nogi z trudem mieściły się pod deską rozdzielczą ciasnego samochodu. Wydawał się rozluźniony.

- Jeszcze nie jestem pewien... - udawał, że się namyśla. - Może uda nam się rozwiązać ten spór polubownie. Powiedzmy nad butelką dobrego merlota i kolacją przy świecach dziś wieczorem?

- Nie rozumiem cię, McGrory - burknęła. - Poza faktem, że jestem absolutnie niezainteresowana, nie należę do twoich kół społecznych i finansowych. Prawdopodobnie nie mamy ze sobą nic wspólnego. Po co sobie w ogóle zawracasz głowę?

- A dlaczego słońce wstaje? - odparował, żartobliwie przedrzeźniając jej dramatyczny ton. Wzniosła oczy ku niebu.

Zaśmiał się, lecz śmiech ten zabarwiony był frustracją. Poprawił worek z lodem na oku.

- Dobrze, spróbujmy inaczej. Zamiast zastanawiać się dlaczego, spróbuj pomyśleć, a dlaczego nie? Dlaczego po prostu nie dać się ponieść i sprawdzić, dokąd dojdziemy?

Czemu robisz takie trudności? Czemu nie możesz po prostu skapitulować, wyjść ze mną i sprawdzić, czy dobrze nam w swoim towarzystwie? Mogę ci powiedzieć, o co w tym wszystkim



chodzi? - ciągnął, jakby rzeczywiście dokładnie to sobie przemyślał. - Jeśli rozejdziemy się, nie sprawdzając, jaki kierunek może przyjąć ta znajomość, będziemy tego bardzo, bardzo żałować.

- Zbudź się, Rachael. Czy nigdy nie szłaś na żywioł? - zagadnął, kiedy milczała przez dłuższą chwilę.

Z wielkim niepokojem musiała przyznać, że jej milczenie spowodowane jest brakiem argumentów, a co najmniej brakiem sił, aby dalej prowadzić tę bezowocną dyskusję.

- Nigdy nie ryzykowałam, nie dbając o konsekwencje?

Wreszcie jakieś łatwe pytanie.

- Nie. Nigdy - odparła. Nigdy nie ryzykowała.

- To chyba twój hotel - zauważyła, zatrzymując się przed kosztownym i urokliwym Brazilian Court. Znacząco pozostawiła włączony silnik. Boy otworzył drzwi po strone pasażera. Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby patrzeć wprost przed siebie, zamiast w oczy Nate'a.

- Nie sądzę, aby ostatnie błaganie o litość przekonało cię, żebyś zajrzała na chwilę do mojego pokoju?

Prychnęła, jakby chciała powiedzieć: „Nie Ucz na to”, choć musiała mocno objąć palcami kierownicę, żeby nie ulec.

- Tak właśnie sądziłem.

Wnętrze samochodu wypełniło milczenie przenikliwe jak światło reflektorów.

- Jeśli nawet podam ci numer telefonu, nie zadzwonisz, prawda? - zapytał, jakby znał już odpowiedź.

Pokręciła głową, z trudem zachowując zimną krew wobec szczerego zawodu, jaki usłyszała w jego głosie.

Wreszcie zrozumiał. Nie spodziewała się, że i jej głos zabrzmiał rozczarowaniem:

- Nie, nie zadzwonię.

Minęła kolejna długa chwila, zanim wysiadł z samochodu, ale po chwili znów wsunął głowę do środka.

- Więc ja zadzwonię do ciebie.

- Nate.

Powstrzymał jej protest ruchem głowy.

- Zadzwonię do ciebie, Rachael - powtórzył. Odwrócił się i, przerzucając z ręki do ręki worek z lodem, ruszył w stronę hotelu.

Piętnaście minut później Rachael wkładała właśnie klucz do zamka w drzwiach swego miejskiego domu, kiedy usłyszała dzwonek telefonu.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że zawsze dotrzymuję słowa - rzekł Nate bez żadnych wstępów, kiedy bez tchu podbiegła do aparatu i podniosła słuchawkę.

Ciężko usiadła na sofie, aż zanadto świadoma radości, jaką sprawił jej ten telefon. Tym razem nie próbowała ukrywać mimowolnego uśmiechu.

- Człowiek honoru.

- Zdaje się, że pisałem ci już coś na ten temat w bilecikach dołączanych do kwiatów.
- Chyba tak.
- Czy wspomniałem też, że jestem uparty? Dotknęła palcami ust.
- Zdaje się, że tak. Między innymi. Zapanowało milczenie, które otuliło ją jak lśniący, lekki jedwab i wprawiło jej zmysły w drzenie. Spoglądała w ciemność salonu i czuła, że czeka na propozycję kolejnego spotkania, bojąc się, że odpowie: „tak”.
- Dobranoc, Rachael.
- Dobranoc - szepnęła po chwili, kiedy już zrozumiała ostateczność tych słów - i wmówiła sobie, że nie jest rozczarowana jego kapitulacją. - Uważaj na oko.
- Oczywiście. - Zachichotał i odłożył słuchawkę.

Rachael siedziała w ciemności przez długie minuty, myśląc o tych wszystkich rzeczach, o których obiecywała sobie nie myśleć.

Wreszcie musiała przyznać sama przed sobą, że bardzo pragnie być z Nate'em.

Wstała i ruszyła pod prysznic. Gdybyż mogła tego mężczyznę wypłukać ze swego życia tak, jak szampon z włosów.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Niedzielny obiad w rezydencji McGrorych w Miami był zawsze częściowo poświęcony interesom, a częściowo rodzime, a przy tym prawdziwą torturą dla Nate'a. Nikt jednak o tym nie wiedział. On zawsze starał się to ukrywać.

W kącie patio, w cieniu palmy kokosowej, ojciec Nate'a, Ryan, i jego brat Tony pochylali się nad szachownicą, rozmawiając o transporcie i baseballu, burcząc na siebie żartobliwie i ganiąc wzajemnie swoje strategie ataku i obrony. Nate znajdował się dość daleko od nich, bawiąc się w ganiego z czteroletnim synkiem Tony'ego i Tii, podczas kiedy dwuletnia Meredith spała słodko w pokoju dzieciennym.

Matka Nate'a, Gloria, zawsze nalegała, że to ona będzie przygotowywać niedzielne obiady. Nate po niej właśnie odziedziczył ciemne włosy, oczy i cerę oraz urodę. Po zakończonym posiłku krzątała się teraz po kuchni, kończąc jakiś nieprawdopodobnie słodki deser.

- Nieczęsto cię ostatnio widzujemy, Nate. Dzieciaki tęsknią za tobą. Tony i ja też.

Nate zmusił się do uśmiechu, po czym odwrócił głowę i spojrzał przez ramię, wprost w oczy kobiety, którą kochał i którą stracił na korzyść brata. Tia. Piękna, wrażliwa, łagodna Tia. Jej widok w te niedzielne popołudnia zawsze przypominał mu o łagodnej goryczy straty. Skoro jednak to Tony był dość sprytny, by jej wyznać miłość i postępować konsekwentnie, Nate musiał pozostać na lodzie. Lecz do tej pory nie znalazł lepszego sposobu na tę miłość, jak tylko zdławić ją w sobie.

- Wiesz, jak to jest. Za dużo pracy i za mało czasu. A jednak trudno było pozostawać z nimi. Nikt nie

wiedział o jego miłości, bo Nate nikomu nie zwierzał się ze swych uczuć. Nigdy nie skrzywdziłby w ten sposób Tony'ego i Tii. Zawsze byli przyjaciółmi, cała trójka, a potem nagle Tony oznajmił, że żeni się z Tią. Nate był zaskoczony i nieco oszołomiony. Ale zniósł to dzielnie. Pracował, cieszył się życiem najlepiej, jak umiał. Lecz czasem było mu po prostu zbyt trudno. Na przykład oglądać codziennie Tony'ego i Tię razem. Dlatego właśnie wkrótce po ich ślubie przejął rodzinny interes, tłumacząc ojcu, że musi sam stanąć na nogach. Było to pięć lat temu.

A teraz pojawiła się Rachael Matthews. I wzbudziła w nim coś, czego nie odczuwał od bardzo dawna. Fascynację.

- Słyszałam coś o jakiejś nowej kobiecie w twoim życiu - zauważyła Tia, budząc go z zadumy.

Nate chwycił piłkę rzuconą przez małego Marka

i uśmiechnął się do niej. Oczy Tii były wielkie i okrągłe, a pełne usta uśmiechały się ciekawie.

- Tony ma długi język, a ty wiesz, że nigdy nie opowiadam, z kim się całuję.

Nigdy nawet nie pocałował Tii. Nigdy nie próbował w żaden sposób okazać jej swego uczucia. Małżeństwo i miłość brata były święte.

Więc dlaczego Rachael? Większość kobiet marzyła

o nim, Rachael nie chciała poświęcić mu nawet minuty. Dostawał szału, że nie była zainteresowana ani jego pieniędzmi, ani wyglądem, ani pozycją społeczną. Była mądra, śliczna i pełna zapału. O nim zwykle mówiono to samo.

A poza tym intrygowała go, lecz i tak nie pozwoli, aby sprawy pomiędzy nimi zaszły za daleko.

- Hejżeee!

Obejrzał się. Twarz Tii zarumieniona była z ciekawości i rozbawienia.

- Gdzie byłeś, Nate? Zupełnie o niej zapomniał.

- Przepraszam, skoncentrowałem się na moim idolu - zaśmiał się i rzucił piłkę do Marka.

Chłopiec rzucił się za nią dramatycznym szczupakiem, odbił ją

i na brzuchu popęzł za nią po trawniku.

- Chodźcie! - zawołała matka z patio. - Deser na stole.

- To do nas, mały. - Z ulgą przyjął pretekst, by unikać rozmowy sam na sam z Tią. Chwycił Marka,

posadził sobie na ramionach i ruszył w stronę patio, uchylając się przed liśćmi palm. A resztę popołudnia spędził na zastanawianiu się, dlaczego tak ciężko pracuje nad pancerzem, który nosiła Rachael Matthews o zielonych oczach i namiętnych ustach. W dwa tygodnie po przyjęciu u Karen i Sama Rachael uznała, że Nate McGrory widocznie pojał aluzję. Och, dzwonił kilka razy, lecz Sylvie zawsze jakoś ją tłumaczyła. A potem telefony ustały zupełnie. Nie obejrzała już ani stokrotki, ani różyczki z niemądrym liścikiem. O, to dobrze. To... wspaniale, powtarzała sobie, siedząc nad stosem drukowanych informacji na temat przystawek i doboru win na zbliżające się przyjęcie Jensonów.

Drzwi otwały się cicho i podniosła głowę. Serce zabiło jej mocniej, kiedy spojrzała wprost w żywe, brązowe jak cappuccino oczy Nate'a McGrory'ego.

- Drzwi były otwarte - oznajmił przepraszająco.

- Hm...

Uśmiechnął się szerzej.

- A gdzie ratownik?

- Słucham?

- Twoja asystentka. Dzisiaj nie bawi się w zagłuszanie rozmów.

- Ach... - Mówił o Sylvie, która niechętnie przesiewała jej rozmowy, odrzucając te, które pochodziły

od Nate'a. - Musiała... nie wiem. Pewnie poszła coś załatwić.

- Mam szczęście.

Patrzyła rozszerzonymi oczami, jak Nate wciska pięści głęboko w kieszenie spodni i opiera się ramieniem o framugę.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrała pośpiesznie, czując, że to zbawienie.

Szybko zakończyła rozmowę, obserwując, jak krąży po gabinecie, wygląda przez okno i analizuje osobiste drobiazgi, którymi przyozdobiła gabinet.

Minęły dwa tygodnie od dnia, kiedy pozostawiła go przed Brazilian Court, obiecując, że nie zadzwoni. Myślała o nim co dzień... i co noc.

Uśmiechnął się.

- Wiesz, co mnie sprowadza do Palm Beach? Wstała, zebrała papiery i ułożyła w zgrabną kupkę.

- Sądzę, że interesy, skoro nie ciągnie cię tu nic innego.

Rzuciła mu spojrzenie, które miało być obojętne, i usiadła.

- Dobrze - rzekł. - Postawię sprawę jasno. Myślałem dużo i wreszcie wymyśliłem. Byłem z tobą zbyt delikatny. Kwiaty, telefony - ciągnął, ignorując jej pełne niedowierzania spojrzenie. - To nie działa na takie kobiety jak ty. Muszę być bardziej zdecydowany.

Bardziej asertywny.

- Nate... - zaczęła, ale jej przerwał.



- Zarezerwowałem miejsca w Mara Lago na dziś wieczór.

Rachael zawsze chciała zobaczyć Mara Lago, ale podobnie jak wiele innych rzeczy w jej życiu wspaniały prywatny klub znajdował się poza jej zasięgiem. Mara Lago było posiadłością na South Ocean Boulevard, którą Donald Trump kupił i przekształcił w ekskluzywny klub. Na członkostwo mogli sobie pozwolić tylko ci obrzydliwie bogaci. A ona obsługiwała właśnie takich obrzydliwie bogatych, nie spotykając się z nimi na stopie towarzyskiej.

Wiedziała, że Nate jest bogaty, ale Mara Lago nie oznaczało po prostu bogactwa.

Oznaczało nieprzyzwoite bogactwo.

- Aha... czyli mam być pod wrażeniem?

- Jeśli tego ci trzeba, żeby powiedzieć „tak”, to naturalnie.

- Słuchaj - dodał, kiedy wytrzeszczyła oczy. - Uważam, że ktoś w przeszłości zrobił ci krzywdę, a ja teraz za to płacę. To nie jest szczególnie uczciwe względem mnie.

- Uczciwe? - powtórzyła, ogłuszona trafnością jego przypuszczenia.

- Doskonale. Zgadzasz się.

- Na co niby się zgadzam?

- Siódma wieczorem. Przyślę limuzynę. Wstał i skierował się w stronę drzwi.

Rachael spojrzała na zegar na szafce nocnej i jęknęła. Za pięć siódma. Za chwilę limuzyna podjedzie pod jej dom. Znów zaczęła rozważać możliwość ucieczki. Nie powiedziała przecież Nate'owi, że przyjdzie. Ale mowa była o Mara Lago. O Mara Lago.

Nie, nie chciała wspinać się wyżej po drabinie społecznej, nie chciała być widziana z najbardziej elitarnymi grupami, które uczęszczały do Mara Lago i innych ekskluzywnych klubów, z których słynęło Palm Beach. Ale klub Mara Lago kusił ją ogromnie, Słyszała opowieści o przyjęciach, wspaniałej posiadłości i zawsze marzyła, żeby choć raz...

Kimie! Kim wiedziała o jej marzeniach, a choć Rachael wymogła na niej, że już nigdy nie będzie rozmawiała z Nate'em na jej temat, widocznie puściła farbę.

No proszę, znowu dała się zmanipulować. To się nie może tak skończyć.

- Ale to Mara Lago - przypomniała sobie z rozpaczą. W końcu już się umalowała i uczesała. I była odpowiednio ubrana... czy może nie?

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, taksując czerwoną jak pożar i haftowaną cekinami wąską suknię-tubę. Była tak niepodobna do wszystkiego, co do tej pory nosiła! Kimie namówiła ją na kupno w chwili słabości. Rachael nigdy nie miała odwagi jej włożyć.

Odsłaniała zbyt dużo nóg, zbyt dużo dekoltu i wielkim głosem oznajmiała każdemu zaintereso-

sowanemu mężczyźnie: jestem po to, żeby mnie zdjąć.

Miała już wyskoczyć z tego futerału, pod którym mogła nosić jedynie stringi, kiedy rozległ się dzwonek.

Zadrżała, odetchnęła głęboko i zeszła na dół, do foyer, przyciskając przycisk domofonu, aby odesłać kierowcę limuzyny Nate'a tam, skąd przyjechał.

- Tak?

- Panna Matthews?

- Słucham.

- Pan McGrory prosił, aby życzyć pani miłego wieczoru i poinformować, że jego samochód jest do pani dyspozycji i zawiezie panią do Mara Lago w każdej chwili.

- Dziękuję - odparła. - Za chwilę zejść. Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i ruszyła na poszukiwanie swoich srebrnych sandałów. Zrobi to. Pozwoli, aby Nate dopiął swego, i spotka się z nim dziś wieczór.

Ale tym razem to ona odpłaci mu pięknym za nadobne. Chciał zabawy? Będzie miał zabawę.

Chwyła małą torebkę wyszywaną paciorkami i ruszyła do wyjścia.

Mały diabełek w jej głowie zapytał: co właściwie chcesz osiągnąć przez to przedstawienie?

Satysfakcję. Otóż to. To nie ona zaczęła, tylko on. Nie chciała, ale on nalegał. Więc teraz jej kolej.

O siódmej Nate zaczął się martwić, że pokpił sprawę. Zbyt mocno naciskał Rachael, aż ją spłoszył. Była uparta jak stado mulic, a on... no cóż, zachował się niezbyt delikatnie, wręcz bezczelnie i natrętnie, nie wspominając już o sporej dozie zarozumiałstwa.

- O, chyba jednak dzisiaj będę miał szczęście -mruknął z ulgą, kiedy wynajęta limuzyna podjechała wreszcie przed klub Mara Lago o siódmej dziesięć.

Zerwał się, rozprostował mankiety, poprawił klapy smokinga i powoli zszedł po schodach, czekając, aż szofer otworzy tylne drzwi.

Wyglądała nieziemsko.

Kremowa-skóra, smukłe, muskularne nogi, niewiarygodnie długie w wąskich, srebrnych pantofelkach, szykowna, elegancka suknia. Nie ładna - olśniewająca. I piekielnie seksowna. Nie pozostawiała wiele pola dla wyobraźni, a piersi, pełne, wysokie i zgrabne, ciasno wypełniały czerwony, wyszywany cekinami gorset.

Właściwie był przyzwyczajony do towarzystwa olśniewających i zainteresowanych nim kobiet, ale w przypadku Rachael przejście od poważnej, umundurowanej i kompetentnej urzędniczki było po prostu zbyt gwałtowne... i obudziło w nim zwierzę.

Jeśli się nie opanuje, w ciągu kilku sekund ściągnie z niej tę mikroskopijną szmatkę. Już miał zaproponować jej takie zakończenie wieczoru, kiedy przypadkiem pochwycił jej wzrok.

Zielone, mistyczne oczy rozświetlał płomień zwycięstwa.

Bawiła się nim w najlepsze.

Cholera. Wziął ją w ramiona i śmiechem zamaskował zmieszanie. Palcem uniósł jej twarz ku górze.

- Ty mała, sprytna czarownico. Zamierzasz mnie zabić?

Uśmiechnęła się poważnie.

- Zabić? To chyba lekka przesada, nie mówiąc już o tym, że to nielegalne.

- Tortury?

- Może być.

Zaśmiał się znowu i pochylił tak, że prawie dotykał ustami jej ust.

- A może pójdziemy wprost do najbliższej sypialni, zanim zrobię coś nielegalnego tu i teraz, pośrodku podjazdu?

Usunęła się z bezpośredniego sąsiedztwa jego ust, obrzucając go wzrokiem pełnym politowania.

- Z przykrością cię o tym informuję, skarbie, ale nie ty jesteś dziś główną atrakcją mojego wieczoru.

- Mara Lago - skinął poważnie głową i wiedział już, że został pokonany przez mistrzynię. - Zostałem zastrzelony z własnej broni.

- O, proszę. Nie tylko jest bogaty, ale jeszcze ma mózdzek w tej swojej ślicznej główce. -

Poklepała go

po policzku i uśmiechnęła się, jakby jej ukochany szczeniak nauczył się właśnie nowej sztuczki. - Czegóż więcej może sobie życzyć dziewczyna?

Musnęła wargami jego usta i uwolniła się delikatnie, z ociąganiem zdejmując dłonie z klap jego smokinga. Powoli obróciła się i ruszyła ku wspaniałym drzwiom wejściowym.

- Jestem trupem - wymamrotał Nate pod nosem i pokręcił głową, obserwując prowokacyjnie kołyszące się biodra obciągnięte czerwoną lycrą.

- Też mi się tak zdaje, sir - mruknął szofer zza jego pleców.

Nate obejrzał się i uśmiechnął szeroko.

- Piękna śmierć, nie?

- Piękna, istotnie - odparł mężczyzna, dotykając palcami daszka czapki.

- Mogę cię o coś zapytać? - rzekł o wiele później, kiedy stali boso na plaży, a fale omywały im stopy. Księżycowe światło łagodnie kładło się na jej twarzy, rozświetlając delikatne rysy złotą poświatą.

- Zastanawiasz się pewnie, co mam pod tą sukienką, co?

- No cóż, może trochę... W istocie jednak myślałem o czymś zupełnie innym. Rachael... czy mamy bodaj najmniejszą szansę, aby zacząć wszystko od początku?

Podniosła na niego wzrok.

- Od początku? Co?

- Wszystko, dlaczego nie? - Uśmiechnął się. - Dureń ze mnie.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem, zdradzającym, że ją zaskoczył.

- Wreszcie się zorientowałeś, co?

Westchnął ciężko. Jej lekki uśmiezek nieco złagodził gorzkie słowa.

- No cóż, nie mogę powiedzieć, żebym nie rozpoznawał własnej taktyki, kiedy się ją stosuje przeciwko mnie. Dostałem nauczkę.

Zamrugła jak wcielona niewinność.

- A cóż to za nauczka?

- Teraz dopiero zrozumiałem, że zachowuję się wobec ciebie jak żeglarz, którzy zszedł na ląd po rocznym rejsie bez przepustki, Byłem natrętny, nieznośny, wścibski... no cóż, w każdej chwili możesz mi przerwać, wiesz?

Zamyśliła się i pokręciła głową.

- Nie sądzę, zanadto podoba mi się ta spowiedź.

- Tak jak podobała ci się nauczka, której mi dziś udzieliłaś.

- Udało się, prawda?

- O, tak. Nakręciłaś mnie, wyżełaś i sparzyłaś do kości. A wiem, że nie masz najmniejszego zamiaru wpuścić mnie za próg domu, nieprawdaż?

- I tu się nie mylisz, żeglarzu.

Uniósł twarz w niebo i roześmiał się, po czym

spojrzał na nią. Ujął ją za ręce, delikatnie gładząc kciukami po palcach.

- Spróbujmy może tak. Cześć - rzekł. - Jestem Nate, Nate McGrory. Zobaczyłem cię na ślubie Sama i Karen i od tamtej pory nie mogę przestać o tobie myśleć. I naprawdę, naprawdę chcę cię poznać.

O, do licha, ponuro pomyślała Rachael, spoglądając mu w oczy. Dlaczego musi być taki słodki teraz, kiedy już zrobiła to, co chciała?

Przez trzy lata odsuwała się od wszelkich związków, rzucając się w wir pracy i starając się unikać tej jednej rzeczy, której i tak nie była w stanie uchwycić. A jednak stała i nie odchodziła, spoglądając na ich splecione dłonie, a potem w jego oczy.

- Hej - szepnęła i w jednej chwili wszystkie tak troskliwie wznoszone bariery prysły, a ona z zamkniętymi oczami rzuciła się w tę ryzykowną grę. - Jestem Rachael. I sądzę, że może ja też chcę cię poznać.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Znowu? dzisiaj? - zapytała Sylvie zaintrygowana, unosząc brwi. Zająła miejsce po drugiej stronie biurka, naprzeciwko Rachael. Zaczęła piłować paznokcie. - Trzy razy w tygodniu?

- Dwa - poprawiła Rachael. - Nie wiedziałam, że liczysz.

- Kochanie, mogę policzyć własne uderzenia serca za każdym razem, kiedy ten gość dzwoni albo wchodzi tu, do biura, z tym zabójczym uśmiechem.

- Zbyt wiele sobie wyobrażasz. Po prostu razem miło spędzamy czas - zapewniła.

Właściwie mówiła prawdę.

Podczas tego pamiętnego długiego spaceru po plaży chyba straciła rozum, kiedy zgodziła się poznać go lepiej, lecz oprzytomniała przed bramą domu.

- Musimy mieć jasne reguły gry - powiedziała, wkładając klucz do zamka, świadoma obserwujących ją ciemnych oczu.

- Jasne reguły gry? - powtórzył ze zdumieniem.

- Już ci mówiłam, Nate - zaczęła z taką determinacją, nt Jaką tylko było ją stać. - Nie radzę sobie ze

związkami. Nie próbujmy zatem stworzyć z tego związku, dobrze? Chciałabym, aby to było jasne, że jeśli któreś z nas w dowolnym momencie uzna, że ma dość, drugie wyraża na to zgodę. Żadnych szkód. Żadnych żali. Żadnych pożegnań.

- Dlaczego sądzisz, że to się musi skończyć pożegnaniem?

To pytanie było bardzo łatwe.

- Ponieważ zawsze tak się kończy.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej twarz, jakby coś sobie rozważając.

- Powoli, może po prostu przekonamy się, dokąd nas to zaprowadzi?

- A jeśli nie zaprowadzi nas tam, gdzie byś chciał? A jeśli powiem, że wciąż nie jestem pewna, czy chcę z tobą spędzić noc?

Wydawało jej się, że po tym pytaniu nie powinno już być najmniejszych wątpliwości.

Wstrzymała oddech i czekała z lękiem na jego odpowiedź.

- Pokręcę się w pobliżu i poczekam, aż się namyślisz.

Zamrugnęła, zdając sobie nagle sprawę, że nie ma pojęcia, co właściwie kieruje tym człowiekiem.

- Przecież nawet nie byłam dla ciebie miła. Dlaczego to robisz?

- Masz rację, nie byłaś miła - odparł, uśmiechając się tym irytującym, cudownym, cierpliwym i przenikliwym uśmiechem. - Wyobraź sobie tylko te możli-

wości, kiedy wreszcie zdecydujesz, że jednak nie taki zły ze mnie gość.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, co to właściwie za człowiek.

- Musisz mi jednak dać znak.

To zdanie bez związku wytrąciło ją z równowagi jeszcze bardziej, aniżeli miękkie spojrzenie jego oczu.

- Znak?

- Kiedy się zdecydujesz. Abym mógł cię kochać. Wyciągnęła dłoń i dotknęła końcami palców jego

policzka, całując go lekko.

- Wierz mi - rzekła, zmuszając się do zakończenia pocałunku na delikatnym muśnięciu, kiedy marzyła

o głębokim, satysfakcjonującym kontakcie. - Jeśli zechcę, z pewnością się domyślisz.

Dobranoc, Nate - szepnęła i wśliznęła się do domu. -1 dzięki za Mara Lago.

- Houston... mamy problemy?

Rachael z trudem otrząsnęła się ze wspomnień

i zauważyła rozbawiony uśmiech na twarzy Sylvie.

- Nie, nie mamy problemów,

- Więc... wszystko w porządku?

- Nie wyobrażaj sobie więcej, niż jest - powtórzyła, wiedząc, że Sylvie ma tendencję do widzenia rzeczy innymi, niż są w istocie.

Sama musiała sobie o tym przyrównać za każdym razem, kiedy Nate zabierał ją na kolację, do kina, na przejażdżkę kajakiem lub po prostu na długą wycie-

czkę. Nie wyobrażać sobie więcej, niż jest - stało się jej mantrą. Ciężko pracowała, aby po prostu cieszyć się z każdej chwili spędzonej z tym człowiekiem.

Lubili tę samą muzykę, te same filmy, te same fast foody i klub Mara Lago, lecz ich znajomość była studium kontrastów. W końcu to, że potrafił ją rozbawić, spełniał jej zachcianki i życzenia, nie zmuszał do fizycznego związku, nie znaczyło zupełnie nic.

W głębi serca jednak pragnęła... i sama siebie za to nie lubiła... aby w pewnej sprawie był nieco bardziej natarczywy. Sama już nie wiedziała, czego naprawdę chce. Był dżentelmenem, nie odważał się na nic więcej poza niewinnym pocałunkiem w policzek, kiedy co wieczór żegnali się u drzwi jej mieszkania.

Przecież o to podobno jej chodziło? Żadnych nacisków. Żadnych komplikacji.

Rachael siedziała na dziobie łodzi, podparta rękami, wznosząc ku niebu twarz niczym jakieś mistyczne stworzenie utkane z legend i mitów i nocnych marzeń samotnego, ogarniętego miłosną obsesją żeglarza.

Nate był nią oczarowany. Od tamtego wieczoru na plaży, kiedy zgodziła się, aby zacząć wszystko od początku.

Od czasu gdy wyruszyli, dwukrotnie udało mu się przewrócić małą łódkę. Raz stało się to przypadkiem - jeśli można tak nazwać jego nieuwagę. Drugi raz zrobił to umyślnie.

Tak przyjemnie było płynąć w wodzie obok niej, trzymać się jedną ręką przewróconego kadłuba, a drugą obejmować ją dla bezpieczeństwa, tak miło, kiedy ich nogi muskały się w wodzie, że uznał się za usprawiedliwionego, by zrobić to raz jeszcze.

Nigdy do tej pory nie miał z kobietą tak czystego związku. Nie uważał, że seks jest wszystkim i bez niego nic się nie obejdzie, lecz choć czuł, że powietrze wokół nich naładowane jest napięciem, wahał się przed przejściem do kolejnego etapu.

Poczuł, że znów ogarnia go pożądanie, które próbował zwalczyć od rana. Mężczyzna może znieść pewną liczbę cmoknięć w policzek na koniec dnia, ale pewnego dnia przyjdzie taka chwila, że natura weźmie górę.

A w tej chwili mógł na to poradzić tylko jedno - wystarczył ruch ręki i pociągnięcie liny, aby znów znaleźli się w wodzie.

Roześmiała się i jedną ręką odrzuciła z twarzy mokre włosy. Drugą trzymała się przewróconej łódki.

- Albo jesteś w tym bardzo dobry, albo bardzo kiepski - stwierdziła, wyciągnęła rękę i niespodziewanie odgarnęła mu kosmyki z oczu. - Jeszcze się nie zdecydowałam.

Wykorzystał kołysanie fal, by znaleźć się blisko niej. Zachęcony tym, co ujrzał w jej oczach i ruchem dłoni, która z czoła przesunęła się na jego ramię, przyciągnął ją do siebie.

- Myślałby kto, że ja naprawdę wiem, co robię,

prawda? - wymruczał, oczarowany nagłym żarem jej spojrzenia.

- Po namyśle - szepnęła, gdy otoczył ją ramieniem i przytulił, aż poczuł pod wodą dotyk jej chłodnej skóry - sędzę, że doskonale wiesz, co robisz.

Uważnie spojrzał jej w twarz, potem przeniósł wzrok niżej, na jej piersi, przyciśnięte do jego torsu. Przełknął ślinę. Z trudem. Znów zajrzał jej w oczy. Wokół nich woda kołysała się lekko, słońce tańczyło na małych falkach jak diamenty.

- Tak, pani. Chyba wiem.

Pocałował ją. Tak, jak chciał ją całować od pierwszego dnia na molo.

Głęboko, namiętnie, płomiennie.

Była mokra, jej usta były chłodne, lecz pod tą zimną miękkością płonął żar, który bez jednego słowa powiedział mu, że tak samo pragnęła i potrzebowała tego pocałunku, jak on. Jęknął cicho i puścił łódkę, obejmując Rachael obojgiem ramion. Zaczął pożerać jej usta tak łakomie, że gdyby miał w sobie jeszcze bodaj odrobinę rozsądku, sam przeraziłby się własnym pożądaniem.

Usłyszał tylko bulgoczące „mthhłmaaaaakldtkhhh” i ich głowy zanurzyły się w wodzie.

Dopiero gdy Rachael zaczęła go odpychać i miotać się rozpaczliwie, dotarło do niego, że mogą się oboje utopić, jeśli czym prędzej się nie ocknie i nie zacznie działać.

Chwylił ją krzepko i kilkoma ruchami nóg wy dostał na powierzchnię. Wynurzyli się, ciężko dysząc i łapczywie chwytając powietrze.

- Przepraszam. Nic ci się nie stało? - Przytulił ją, delikatnie gładząc po bladej twarzy.

- Eeee... czy ja wiem? To zależy...

- Od czego?

- Od tego, czy się nie napiłeś zbyt dużo wody i czy dasz radę przepłynąć taką odległość. - Wskazała podbródkiem gdzieś daleko za jego plecami.

Łódka odpłynęła mniej więcej na odległość stu metrów.

Otarł dłonią kropelki wody z oczu.

- Wesoly ze mnie kompan, co? - mruknął, wściekły z powodu własnej głupoty.

- Tak - odparła miękko, a po dłuższej chwili milczenia uśmiechnęła się. - Tak, wesoly z ciebie kompan.

Nie spuszczaając z niego pytającego, niepewnego spojrzenia, odepchnęła się i ruszyła w kierunku wywróconej łodzi.

Długo płynął za nią, czując każde uderzenie serca, obserwując jej długie, zamaszyste ruchy ramion. Zastanawiał się, co oznacza ten pocałunek. Zastanawiał się, czy aby na pewno wie, w co się pakuje.

Później tego samego dnia, gdy Nate odwiózł ją do domu, Rachael stała pod prysznicem, zmywając z siebie sól morską, balsam i zapach Nate'a McGrory'ego.

Podniosła twarz pod strumień wody, splukała resztę mydła i zakręciła kurki. Stała na zimnych, białych płytkach i ścierając parę z lustra spojrzała na swoją twarz. Pomimo kolorów, jakie słońce namalowało na jej policzkach, wydawała się blada, nawet osłabiona.

- Słabe nogi i słaba wola - mruknęła do siebie, włączając suszarkę. - Bardzo słaba wola. Wyłączyła suszarkę i oparła się dłońmi o lustro. Spuściła głowę.

- Seks - oznajmiła na głos, prostując ramiona - nie musi prowadzić do niczego więcej, jak tylko do... więcej seksu - rezonowała, rozgrzewając się pod wpływem tych argumentów. Wiedziała przecież, że nie ma mowy o miłości. Wiedziała, że miłość to coś, na co nie można liczyć, nawet gdyby byli w sobie zakochani.

- Wiesz, prawda? - warknęła do swojego odbicia i chwyciła butelkę perfumowanego balsamu, obficie zlewając nim zaczerwienioną od słońca i podniecenia skórę.

- Tak, wiem - zapewniła się i poszła do sypialni włożyć bieliznę. - Wiem doskonale. Kiedyś chciała wierzyć w miłość. Chciała wierzyć, że ją odnajdzie. Zanim jednak na scenie pojawił się Nate McGrory, uznała, że nie ma na nią szans.

A jeśli nawet przez moment miała jakieś przelotne złudzenia dotyczące tego, co zaszło między Nate'em a nią, musiała szybko sprowadzić się na ziemię.



On mieszkał w Miami. Latał prywatnymi odrzutowcami. Zgodnie z tym, co twierdziły plotkarskie czasopisma, miał mnóstwo kobiet.

Nie chcąc dłużej pozostawać sam na sam z myślami, chwyciła słuchawkę i wykręciła numer Kim.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Mama byłaby ze mnie bardzo dumna, pomyślał Nate z jękiem w tydzień po ich żeglarskiej przygodzie. Znów był w West Palm, mniej więcej o dwadzieścia kroków od sypialni Rachael, po kilku tygodniach ich nie-związku i wciąż był czysty jak świeżo spadły śnieg. W sumie trochę śniegu nawet by mu się przydało. Na głowę, nie mówiąc o reszcie.

- Nie mam merlota, ale może być pinot noir - zawołała z kuchni. Usłyszał otwieranie i zamykanie drzwi szafki, a potem ciche pobrzękiwanie kieliszków do wina.

-Doskonale.

Był piątek i siedzieli w jej miejskim domu. Nate zajął miejsce na tarasie, tuż przy drzwiach, przy stoliku ze szklanym blatem. Po południu planowali wybrać się na festiwal pod gołym niebem na City Place Plaża. Nate przyleciał rano na spotkanie w interesach i skończył je wcześniej.

Zameldował się w hotelu, wziął prysznic i przebrał się w białą koszulkę polo, jasne szorty oraz sandały. Stracił nieco czasu na Worth Avenue, ale nie mógł już

wytrzymać. Zaryzykował i przyszedł wcześniej, wiedząc, że zapewne ledwie wróciła z pracy do domu.

Rachael była zaskoczona, kiedy zobaczyła go w progu. To nieoczekiwane wcześniejsze przybycie zbiło ją z tropu. Doskonale.

Ładnie wyglądała. Zdążyła wprawdzie zdjąć żakiet i krawat, ale wciąż miała na sobie spódnicę i białą bluzkę. Rozpięła tylko dwa guziki pod szyją. To małe ustępstwo na rzecz wygody nie powinno było przyprawić go o bicie serca, podobnie jak bosa stopy, lecz stało się wręcz przeciwnie.

- Pewnie nie masz nic do jedzenia?

- Nie jadłeś lunchu? - zapytała z kuchni. Gdybyż to było takie proste.

- Tylko jakąś przekąskę - wyjaśnił.

- Mam tylko brie i krakersy.

- Wystarczy.

Będzie musiało. Ostatnie kilka tygodni było najbardziej zaskakujące, najzabawniejsze i seksualnie frustrujące w całym jego życiu. Musiał przyznać, że choć zachowanie czystości związku go zabijało, to jednak było bardzo pouczające. Dowiedział się o niej różnych rzeczy, których nigdy nie uznałby za istotne, gdyby spędzali w łóżku tyle czasu, ile on by sobie wyobrażał.

Na przykład dowiedział się, że panna Rachael była wolontariuszką w schronisku dla kobiet. Zaczął zastanawiać się nad jej dzieciństwem i nad tym, co mu-

siała przejść. Pewnego dnia zapytają o to, a tymczasem zadowolili się tym, co ma. Była też zagorzałą czytelniczką i pochłaniała wszystko - od biografii, poprzez poradniki aż po romanse płaszcza i szpady. Była płataniną sprzeczności, lecz mimo to kilka starannie dobranych romansideł na półce dawało mu jakąś nadzieję.

Eklektyczne urządzenie mieszkania sprawiło, że uznał ją za osobę zmysłową. Lubiła jaskrawe kolory i miękkie materiały, otwarte, pełne powietrza przestrzenie i sztukę nowoczesną. Nawet na tarasie otaczała się hibiskusami i jaskrawo kwitnącymi roślinami, które przepełniały popołudniowe powietrze egzotycznymi zapachami. Była zmysłowa jak salsa.

Rachael wyszła na taras. Bez słowa postawiła przed nim tacę sera i krakersów, a obok szklanek wina.

Powietrze wydawało się naładowane elektrycznością. Rachael niechętnie trąciła go w ramię i odskoczyła.

- Czy naprawdę nie szkodzi, że przyszedłem wcześniej? - zapytał. Czy ona też to czuła? Jak mogłaby nie poczuć?

- Nie, w porządku. Ja tylko... szybko wskoczę pod prysznic, jeśli możesz poczekać.

Jej zachrypnięty głos podziałał na jego napięte zmysły jak drut pod napięciem. Podobnie jak myśl o tym, że zaraz zdejmie bluzkę, spódnicę, a potem

znajdzie się pod gorącymi strumieniami prysznic. Na samą myśl o jej namydlonym ciele i spływających po nim strużkach wody poczuł, że kręci mu się w głowie.

Nie spojrzał na nią. Nie miał odwagi. Nie był pewien, czy zdołałby utrzymać ręce przy sobie.

- Dobrze. Jasne. Nie spiesz się.

Połknął potężny haust wina i wsłuchiwał się przez chwilę w odgłos jej bosych stóp na podłodze kuchni. Szybko wepchnął do ust kilka krakersów na raz.

Coś się stanie i to szybko. Najprawdopodobniej popękają mu żyły.

Rachael drżącą ręką wyłączyła prysznic, chwyciła ręcznik i owinęła się nim, zawiązując go na piersi. Serce biło jej hardrockowym rytmem - dziwne, bo włożyła do odtwarzacza w sypialni płytę ze smutnymi latynoskimi melodiami gitarowymi. Na chwiejnych nogach podeszła do lustra i pomyślała o mężczyźnie, który czekał na nią na tarasie.

Ciemne oczy, gładkie mięśnie, ledwie skrywane pożądanie.

Widziała to za każdym spojrzeniem. Pragnął jej.

I - pomyłka lub nie - ona także go pragnęła.

Może zdecydowała już w zeszłym tygodniu, że to właśnie dziś jest ten wieczór, który zmieni wszystko pomiędzy nimi, ale to nie zmniejszyło znaczenia tego, co zamierzała zrobić. Ani nie przynosiło ulgi w niepokoju. Miała cały tydzień na przyzwyczajenie się do

tej myśli i przekonania samej siebie, że jest w stanie to zrobić. Potrafiła rozkoszować się związkiem czysto fizycznym - znów to słowo - z tym atrakcyjnym, pełnym troski mężczyzną, a kiedy wszystko się wypali, będzie mogła odejść bez wielkich żalów. Zaplanowała sobie wszystko. Miał przyjechać wieczorem, a ona miała mu wyjść na spotkanie w czerwonej sukience z lycry. Spojrzałyby na nią raz, zrozumiałby, o co jej chodzi, i to byłby koniec - a właściwie początek - całej sprawy.

Niestety, zjawił się wcześniej i wybił ją z rytmu. Nie była pewna, co teraz robić. Na pewno Nate nie wykona pierwszego gestu, ponieważ jest człowiekiem honoru i potrafi dotrzymać słowa. A ona sama powiedziała mu, że ma trzymać ręce przy sobie tak długo, dopóki ona nie da mu znaku.

Do tej pory przestrzegał wszelkich reguł.

Przekłete reguły, przez które pragnęła go teraz do bólu. Nagle podjęła decyzję.

Wysuszyła się, spryskała nogi i ramiona pachnącym balsamem o zapachu melona, truskawek, kwiatów i śmietanki. Nie wysuszyła włosów, tylko odgarnęła je z twarzy. Z determinacją kobiety mającej do spełnienia ważną misję, odrzuciła ręcznik i otuliła się zielonym jedwabnym kimonem.

Czuła, że tego pożałuje, ale nie miała zamiaru się wycofywać. Raz jeszcze spojrzała w lustro i wyszła z pachnącej, pełnej pary łazienki ku ostatniej rzeczy,

jakiej teraz potrzebowała... i jedynej, jakiej pragnęła nade wszystko.

Nate usłyszał otwierające się drzwi sypialni i wyprostował się mimo woli. Zapach Rachael dotarł do niego pierwszy i wypełnił salon, po którym krążył już od kwadransa niczym niespokojny kot. Nie wiedział, czym się natarła, lecz pachniała jaśminami i owocami, wonnymi, słodkimi i soczystymi owocami i, do licha, zaczął marzyć o zlizywaniu z jej skóry soku mango. Ta wizja zmaterializowała się przed nim w jaskrawych, żywych barwach, mimo heroicznego wysiłku, by ją od siebie odsunąć.

McGrory, przecież nie jesteś takim napaleńcem - zganił się w duchu.

Jasne, że nie, ale był na najlepszej drodze.

Zacisnął zęby, ignorując ostrzeżenia swego ciała, wcisnął pięści w kieszenie i udawał, że pochłonięty jest analizą muśnięć pędzla na pozbawionym ramy płótnie, zwisającym nad kredensem w części jadalnej. Stare malowidło składało się z przeraźliwych kolorów i płynnych linii. Jaskrawe. Śmiałe. Zmysłowe. Jak Rachael.

Spojrzał na miskę z owocami stojącą na blacie oddzielającym część jadalną od kuchennej i pomyślał o seksie. Zauważył szczypce do lodu w zlewozmywaku i pomyślał o seksie. Do licha. O ile mógł zrozumieć zmysłowość pomarańczy... to, na li-

tość boską, co seks ma wspólnego z domowymi srebrami?

Zawrócił w kierunku salonu, kiedy delikatny szelest bosych stóp zatrzymał go w pół kroku.

- Nate?

Zacisnął zęby, zmuszając się do myśli, że zaraz spędzą kolejny platoniczny wieczór nad półmiskiem miejscowych przysmaków. Będą ich otaczały setki ludzi.

- Gotowa? - zapytał, przygotowując się psychicznie na to, co zaraz zobaczy, obejrzał się i poczuł, jak ziemia, a raczej jej niewielki kawałek pod jego stopami, zapada się niczym ruchome piaski.

Nie była gotowa. Była bardzo niegotowa. Bardzo. Miała na sobie krótki zielony szlafroczek i na oko nic więcej.

Wyprostował się lekko, czując, że zaraz oszaleje.

- Hmm... potrzebna mi pomoc - usłyszał jej głos, który dobiegał z tak daleka, jakby znajdowała się po drugiej stronie podwodnego tunelu.

Zacisnął pięści i odwrócił wzrok od jej piersi, przenosząc go na zielone jak woda oczy.

Oczy, w których można było utonąć. Ciało, w którym można się zatracić.

- Pomoc? - zapytał, ale zabrzmiało to bardziej jak prośba niż pytanie.

- Chodzi o to... czy mógłbyś... - Ominęła blat i wyciągnęła do niego rękę z zamkniętą butelką balsa-



mu. Zapach kosmetyku i jej ciała zaćmił i tak przeciążone zmysły Nate'a. - Nie mogę dotrzeć do pleców.

- Pomocy - teraz to już naprawdę było wołanie, kiedy jednym susem przebył dzielącą ich odległość. Chwytał butelkę pozbawionymi czucia palcami i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w plecy, które odsłaniała przed nim.

Stał jak zamurowany, czując, że jego synapsy nie są w stanie połączyć się w logiczną całość, gdy delikatnie zsuwała z ramion zielony jedwab, aż w łagodnych fałdach spłynął jej prawie do pasa. Smukłe, piękne plecy. Przysięgłby, że może policzyć jej kręgi. Chciał to zrobić. Ustami.

Jedną ręką przytrzymując szlafrok, drugą podniosła włosy i spojrzała przez ramię - jedwabiste, nagie ramię.

Czekała.

Wyczekiwała.

- Nate?

Przełknął ślinę, ale musiała raz jeszcze powtórzyć jego imię, zanim powiedział:

- Słucham?

- Może nie rozumiałeś... ale to jest właśnie ten znak, który obiecałam ci dać. Pamiętasz?

No... więc to jest właśnie to, jasne?

Jego serce wywinęło jednego, solidnego kozła, uderzając go w okolice przepony.

Uśmiechnął się, a ona z wyraźną ulgą odpowiedziała mu tym samym.

- Tak. - Podeszedł bliżej. - Nawet jak na cegłę, to dość duża sztuka.

W istocie czuł się tak, jakby dostał w głowę blokiem z piramidy.

Przymknął oczy, odetchnął jej zapachem i ostrożnie przyłożył usta do nagiego karku.

- Oszaleję, Rachael. Doprowadzasz mnie do obłądu.

- No cóż.... ja też raczej nie jestem całkiem przy zdrowych zmysłach.

Nie była pewna, co robi. Ogarnęła go ogromna czułość i opiekuńczość, która na chwilę stłumiła i odsunęła na bok pożądanie.

- Jesteś tego pewna? - zapytał, modląc się, żeby odpowiedziała twierdząco, bo nie był tak silny, jak chciał, a szybko upajał się możliwościami, jakie roztaczało przed nim to zaproszenie.

Westchnęła lekko i oparła się o niego, a on otoczył ramieniem jej talię i przyciągnął ją do siebie. Odstawił balsam na blat.

- Tak, Nate. Jestem pewna.

W tej chwili Rachael niczego nie była tak pewna. Przymknęła oczy. Poddając się rozkosznej rzeczywistości otaczających ją ramion Nate'a, poczuła się jak skoczek przed otwarciem spadochronu.

- Będzie nam razem dobrze - wyszeptał, ciągnąc po jej skórze smugę delikatnych pocałunków. Zadrżała i Nate ukrył twarz w jej wilgotnych włosach.

- Pragnąłem tego - nie dokończył. Starał się zwlekać, podczas kiedy ona nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby oparł ją o ścianę i tak się z nią kochał - szybko, gorąco, namiętnie.

- Tak długo czekałem... - wyszeptał gorączkowo. Chciała obrócić się w jego ramionach, ale ją przytrzymał.

- O, nie - wyszeptał. - Teraz, kiedy wreszcie do tego doszło, zamierzam wcale się nie spieszyć. Nikt nas tu nie goni.

Zachichotała nerwowo.

- Mów za siebie.

On również się zaśmiał, owiewając jej kark gorącym oddechem, aż zadrżała.

- Myślisz, że po tak długim czekaniu będę się spieszył? O, nie. Zamierzam kochać cię powoli i długo, jasne? Wyduszę z twojego słodkiego ciała wszystkie możliwe reakcje, a wtedy... wiesz, co wtedy zrobię, Rachael?

Jego oddech był gorący jak obietnice. Pytanie było groźbą, a ona nie mogła się doczekać jej spełnienia. Westchnęła chrapliwie, gdy chwycił zębami ścięgno na jej szyi i natychmiast osłodził lekki ból pocałunkiem.

- Boję się... boję się spytać.

Jego wielkie dłonie rozpostarły się na jej biodrach i przyciągnęły ją jeszcze bliżej.

- Powinnaś się bać, Rachael Matthews. Powinnaś

się bardzo, bardzo bać... bo kiedy skończę... zacznę od początku.

Kolana ugięły się pod nią. Podtrzymawał ją jedną ręką, drugą zaś powoli błędził po jej ciele, powiódł końcami palców po talii, potem musnięciem między piersiami dotarł do szyi, objął jej podbródek i odchylił w tył, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

Jego ciemne źrenice płonęły. Opuścił powieki, aż rzęsy musnęły mu policzki, i pochylił głowę, by nakryć jej usta swoimi i wchłonąć ją pocałunkiem, który był niczym huragan ognia.

Pociągnął ją w szalony wir nieprawdopodobnego pożądania, które przeszywało ją falami drżenia i paliło ciało rozżarzonymi igłami rozkoszy.

Podniósł wreszcie głowę, oddychając z trudem.

Jęknęła. Musiała się natychmiast oprzeć o blat, żeby nie upaść.

- Chyba mówiłaś coś, że potrzebujesz pomocy -rzekł półgłosem i delikatnie nalał sobie balsamu na dłoń.

- Nooo... tak..

- Właśnie - szepnął, a ogień w jego oczach zapłonął żywym blaskiem. - Ja też. Dojdziemy i do tego. Powoli. Podnieś włosy, Rachael.

Posłuchała, drugą dłonią wciąż przytrzymując szlafrok na piesi.

Powoli rozsmarowywał pachnący, chłodny płyn po jej karku, potem po wrażliwym miejscu między ło-

patkami, aż wreszcie obu dłońmi zaczął wcierać go w jej ramiona.

- Tu? - zapytał, wygładzając warstwę płynu na plecach, potem przesunął dłonie na obojczyk i niżej, muskając końcami palców skraj jej dekoltu.

Pokręciła głową z westchnieniem, pragnąc, by sięgnął dłońmi jeszcze niżej. Aby dotknął piersi. Nigdy nie czuła się tak wrażliwa, tak elastyczna i zmysłowa. Mógł z nią zrobić wszystko, dosłownie wszystko, a jej jedyną odpowiedzią byłoby bezgłośnie błaganie, by zrobił to jeszcze raz.

- Taka delikatna... - wyszeptał, gładząc dłońmi jej skórę. W górę, na ramiona, w dół po plecach, znów powoli w górę. Uwielbiała dotyk jego dłoni, kochała ten dreszcz oczekiwania, który przebiegał jej ciało, kiedy wbijał kciuki w napięte mięśnie na jej karku.

- Podnieś ramiona, Rachael.

Przymknęła oczy i bez chwili wahania posłuchała, unosząc ramiona i oplatając nimi jego szyję.

Nie obchodziło jej, że stoją w pełnym świetle pośrodku kuchni. Nie myślała o tym, że z praktycznego punktu widzenia jest na jego łasce, a on jest całkowicie ubrany. Jej szlafrok zwisał rozpięty, pasek dawno przestał spełniać swoją funkcję.

Jedwab powoli osuwał się po jej rozgrzanej, wrażliwej skórze jak chłodna woda, przyprawiając ją o drżenie.

Nate pochylił się znowu, całując ją w szyję i przykrywając dłońmi nagie piersi. Jęknęła na pół z ulgą, na pół z wyczekiwaniem. Wreszcie, wreszcie jej dotknął. Wielkie, ciepłe dłonie gładziły i pieściły, muskały i naciskały miękkie, jędrne ciało. Rachael czuła, że za chwilę postrada zmysły, nie zauważyła nawet, kiedy opuścił delikatnie jej ramiona i zsunął z nich szlafrok, który spłynął do stóp, po czym znów otoczył nimi swą szyję.

- Kocham twój zapach - wyszeptał, a ona mogła tylko patrzeć, jak napelnia dłonie kolejną porcją balsamu. - Kocham twój dotyk - wymruczał, kładąc dłonie na jej piersiach.

Omam nie krzyknęła, kiedy chłodny płyn dotknął jej rozgrzanej skóry, ale on już rozprowadzał go po całym ciele. Po piersiach, po żebrach i talii, znów w górę, na całej długości jej wzniesionych ramion, i znów powrócił do falujących piersi.

- Dobrze?

- Mmmm...

Poczuła na uchu najpierw jego uśmiech, a potem koniuszki zębów.

- Uważam, że powiedziałaś „tak”.

Zakołysał się wraz z nią, opierając się o jej nagie plecy i pośladki, dłonie ciągle pieściły, podniecały, wydobywając z jej piersi ciche, spazmatyczne szlochy i jęki.

- Nate...

- Pssst... - Gorący oddech owiał jej kark. - Poddaj się. Po prostu się poddaj... Leć.

Silnym ramieniem otoczył jej talię, dłonią nakrył lewą pierś.

Rachael oparła mu głowę na ramieniu, oblizując nagle wyschłe wargi, gdy jego dłoń zsunęła się niżej w łagodnych, delikatnych pieszczotach. Niespełniona, chwyciła go za rękę, przyciskając do siebie.

- Proszę - wyszeptała. - Proszę, proszę, proszę...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kierowany jej ręką, doprowadził ciało Rachael prawie do omdlenia.

- Nate... przestań... nie... nie mogę...

- Nie musisz się powstrzymywać - wyszeptał jej w ucho gorącym powietrzem. - Jesteś taka piękna. Pozwól na to, Rach. Pozwól.

Siła jego dotyku sprawiła, że rozkosz przyszła nagle, gorącą falą i urywanym krzykiem.

Oparła się

o niego, całkowicie obezwładniona. Wydawało jej się, że nie wytrzyma dłużej, kiedy nagle przeszył ją gorący, ostry płomień. Zadygotała, wyprężyła się i drząc konwulsyjnie, opadła na jego pierś.

Obejmował ją w milczeniu, czekając, aż odzyska siły i świadomość, pozwalając jej na moment pogрузić się w aksamitnej mgle spełnienia.

- O-o rany - szepnęła wreszcie, opierając się czołem o jego ramię.

Delikatnie wycisnął pocałunek na jej skroni, mocniej objął ją w talii.

- W porządku?



Zaśmiała się niepewnie, czując, jak warstewka potu pokrywająca jej ciało stygnie powoli.

- Więcej niż w porządku. Jestem bardzo samolubna - dodała z lekkim drżeniem, kiedy wreszcie uwolnił ją od swego dotyku.

- Przepiękna. - Obrócił ją ku sobie. Oparta dłonie na jego piersi, a on luźno splótł palce na jej krzyżu.

- Hej - pochylił się i delikatnie, czule ucałował ją w usta.

- Ty... - szepnęła, odsuwając się nagle od niego, niebaczna na własną nagość. Ujęła go za rękę i poprowadziła w stronę sypialni. - Pójdiesz ze mną.

- Ależ tak zamierzam, kochanie. - Złośliwy śmiech, jakim brzmiał jego głos, sprawił, że i ona uśmiechnęła się lekko. - Mam bardzo konkretne plany, ale najpierw muszę skoczyć po zakupy. - Spojrzała na zboląły wyraz jego twarzy. Jęknął i objął ją, obdarowując długim, żarłocznym pocałunkiem.

- Po zakupy? - spytała sennie, kiedy już otrząsnęła się z kolejnego obłoku zmysłowej mgły, lecz znaczenie tych słów nie dotarło do niej od razu.

- Nie spodziewałem się, Rachael - wyjaśnił, tuląc ją do siebie. - Nie jestem w stanie cię ochronić.

Wspięła się na palce i wycisnęła na jego ustach słodki pocałunek.

- To dobrze, że przynajmniej jedno z nas zaplanowało wszystko. Nie pozwolę, abyś szedł gdziekolwiek.

Wysunęła się z jego objęć i teatralnym gestem otworzyła szufladę szafki nocnej. Jeśli nawet jej bezpośredniość zbiła go z tropu, nie dał tego po sobie poznać i uśmiechnął się szeroko, choć skrył ten uśmiech w pośpiesznie ściąganej przez głowę koszuli. Za nią poleciały szorty i sandały, a potem bokserki.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, zmuszając się do uśmiechu i szepnęła:

- O rany.

Pisnęła dziko, kiedy skoczył i przewrócił ją na łóżko, przygniatając własnym ciężarem.

- Myślisz pewnie, że znów nie zamierzam się śpieszyć? Tym razem nic z tego, zgoda?

- Jeszcze jak. - Objęła go za szyję i jęknęła, tuląc się do niego gorączkowo.

Nie miała pojęcia, jak w tym stanie była zdolna do wypowiedzenia bodaj jednego słowa.

Nate rytmicznymi ruchami prowadził ją wprost w kolejny oślepiający wir rozkoszy, lecz mimo to zdołała wyszeptać urywane:

- Jeszcze. Jak. Zgoda.

Światło księżycy tańczyło na pościeli, posrebrzając pokój i leżącą obok niego kobietę.

Spojrzał na zegar i stwierdził, że zbliża się trzecia nad ranem. Kochali się niecałą godzinę temu, a on znów jej pragnął... choć czuł, że wystarczyłby mu sam widok, dotyk,

namiętny zapach melona i kwiatów i ta bajeczna miłość.

Niewiarygodne. Wiedział, że będzie im razem dobrze, ale nie sądził, że czeka go fantastyczne przeżycie.

Przez chwilę wpatrywał się w jej uśpioną twarz i nagle poczuł się przytłoczony darem, który mu ofiarowała. Ta decyzja musiała ją wiele kosztować. Dała mu więcej niż tylko ciało. Więcej niż miłość. Wspaniałą miłość.

Chylił jednak czoło przed innym darem, jaki mu ofiarowała. Zaufanie. W ciągu kilku ostatnich tygodni dowiedział się, że Rachael Matthews niechętnie dzieli się tym darem. A skoro obdarowała nim właśnie jego, poczuł, że musi jej się czymś odwdzięczyć. Czymś, co wyglądało, zachowywało się i brzmiało podejrzanie jak obietnice.

Przemknęła mu przez głowę przelotna myśl o Th... lecz właśnie wtedy Rachael poruszyła się i westchnęła cicho, miękko, mrużąc jak przebudzony kot. I skończyło się myślenie.

- Nate?

Pochylił się i przesunął wargami wzdłuż jej kręgosłupa, muskając językiem wypukłość kręgow i podwójny dołek poniżej krzyża. Nie tylko ona dziś czarowała magią zmysłów.

- Jak mogę znów cię pragnąć? - wyszeptał. Zmęczony, wyczerpany, opadł na pościel obok niej

i otulił ją swym ciałem. Ukrył twarz w jej włosach

i starał się nie myśleć o gotujących się w jego sercu uczuciach.

Ale nie umiał. Zależało mu na tej kobiecie. Bardzo mu zależało. Szanował ją. A przede wszystkim jej pożądał. I to go napędzało. Właśnie to, a nie miłość. Bo miłość czuł do jednej tylko osoby, a Rachael nie angażowała się w związki.

Zasnął wreszcie, ukołyszany rytmem jej oddechu, łagodnym dudnieniem jej serca pulsującego mu w dłoni. I starał się udawać, że nie czuje pustki, której nie chciał znać ani rozumieć.

Następnego dnia, stojąc pod prysznicem, Rachael miała wrażenie, że wszelkie tamy pękły. Skóra piekła ją po nocnych szaleństwach. Czy żałowała? Nie. Ale była obolała. O, tak. I warto było. Ostatniej nocy znalazła się w innym świecie. Nie myślała o „zawsze i na wieki”, tylko o chwili i o mężczyźnie, z którym była. I sprawiła, że to wystarczyło.

Postanowiła, że nie będzie miała wyrzutów sumienia. Owinęła się szlafrokiem i ruszyła w stronę kuchni.

Nate, wspaniały, rozespany i tak apetyczny jak świeżo zaparzona kawa, spojrzął na nią znad kuchenki i zaśmiał się.

- Hej - rzekł wesoło, lecz jego oczy zasypały ją pytaniami.

Zignorowała przyspieszone bicie serca na jego widok i dręczący ból, który ostrzegł ją, że może posuwa

się za daleko. Usiadła przy blacie i przyjęła kubek kawy z jego rąk.

- Hej, ty - skinęła głową w kierunku kuchenki. - Gotujesz?

Wyglądał bardzo domowo i uroczo z łopatką w ręce, w nisko opadających niebieskich bokserkach. Podszedł do niej i delikatnie pogładził ją po włosach.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Jestem głodny jak wilk i mam nadzieję, że ty też.

- Niech pomyślę. Czy nie przeszkadza mi zapach świeżej kawy po przebudzeniu i superman przygotowujący mi śniadanie? Musiałabym chyba być odmóżdżona.

Pochylił się i pocałował ją lekko, łagodnie. Pachniał pastą do zębów, kawą i sokiem pomarańczowym.

Poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca, kiedy wsunął dłoń pod jej szlafrok i delikatnie pogładził po piersi. Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- W porządku? - zapytał z troską w oczach i odsunął się lekko.

Opanowała emocje i usiadła na stołku barowym, krzywiąc się lekko.

- Najlepiej na świecie, a ty?

Zamiast odpowiedzi wrócił do omletu i uśmiechnął się zabójczo. Uśmiech pana na włościach. Zadowolony. Pełen satysfakcji.

Nie złamiesz mi serca, Nate McGrory, upomniała się surowo. Wiedziała, co robi.

- Jak wygląda twój weekend? - zapytał, obrócił omlet i włożył chleb do tosterka. -

Pracujesz?

Zazwyczaj w weekendy pracowała dla Brides Unlimited. Czasem szła do biura, czasem zabierała pracę do domu. Spodziewała się jednak, że Nate może tu nocować, i zadbała o to, żeby nie mieć żadnej pracy.

- Nie, właściwie nie pracuję.

Wyjął dwa talerze z szafki, obrócił je w dłoniach.

- Spędź go ze mną.

Serce zadrżało jej lekko - tyle tylko, żeby jej przypomnieć, że stąpa po niebezpiecznym gruncie. Niemądrze byłoby się zgodzić, ale.... A właściwie po co zrobiłaś sobie ten wolny dzień?

- A jak ładnie poproszę?

Jakiż on był przystojny. Złocista skóra, pulsujące pod nią mięśnie i czarne włosy, które opadały mu na czoło jak u irlandzko-latynoskiego Rhett Butlera, łajdaka gotowego najechać całe Południe - a właściwie stopę kwadratową południowej ziemi, na której znajdowało się jej krzesło.

I miał być jej na cały weekend, jeśli go zechce. Kto tu mówi o odmóżdzeniu?

- No cóż, skoro tak ładnie prosisz... Pocałował ją w nagrodę, pozostawiając w stanie lekkiego oszołomienia, po czym zajął się omletami. Nakrył do stołu i usiadł naprzeciw niej.

- Co chciałabyś robić?

Wsunęła do ust porcję jajka z cebulą, zieloną papryką i serem, mruknęła z satysfakcją.

- Muszę to skończyć - rzekła wreszcie, odgryzając kawałek tosta z masłem, który położył na skraju jej talerza. - Pyszne.

- Ale po śniadaniu. Co chciałabyś robić? Przesunęła się nieco i natychmiast lekkie ukłucie przypomniało jej o pracowicie spędzonej nocy. Tym razem nie zdołała ukryć grymasu.

- Chyba mogę powiedzieć, że jazda na rowerze i konno nie wchodzi w grę.

Zaśmiał się, ale zaraz spojrział na nią współczująco.

- A może zaczniemy od długiej, ciepłej kąpieli w twojej wannie?

Zanim podniosła wzrok, współczucie przerodziło się w pożądanie.

- Brzmi kusząco, ale obawiam się, że słówko „my” wyklucza jakiegokolwiek kojące skutki.

- Biedactwo - zaśmiał się. - Może ja przygotuję ci kąpiel, a zanim ty wymoczysz się w niej, i to sama, zadzwonię w kilka miejsc?

Omam nie rozplynęła się z radości. Nikt do tej pory nie przygotowywał jej kąpieli. A kiedy po śniadaniu posprzątał kuchnię - znów po raz pierwszy w jej życiu - spełnił swoją obietnicę. Napełnił wannę pachnącą wodą z pianą i pomógł jej wejść, upewniwszy się najpierw, że woda ma odpowiednią temperaturę. A potem jednym pocałunkiem pozbawił ją zmysłów i wyszedł.

Leżała w pachnącej pianie i marzyła, kiedy znów zajrzał do łazienki. Przy uchu miał telefon komórkowy.

- Ile czasu możesz mi poświęcić? - zapytał, odsuwając mikrofon od ust.

Zamrugła.

- Do poniedziałku rano?

- Może do południa?

Zamrugła znowu, czując, że bąbelki piany gasną powoli. W myśli sprawdzała harmonogram zajęć. W poniedziałek miała dwa wczesne spotkania, ale Sylvie mogła je przełożyć.

- Jasne - odparła, zanim postanowiła zmienić decyzję.

Zaśmiał się tym swoim zabójczym śmiechem i rozmawiając z pilotem wyszedł do drugiego pokoju.

W godzinę później, kiedy wciągnięta w wir fantazji i magii Rachael wciąż jeszcze chwytła oddech, samolot Nate'a unosił ich ku Key West.

Weekend minął jak sen. Od lotu we wspaniałym odrzutowcu Nate'a, poprzez baśniowy zachód słońca na Mallory Square, gdzie uliczni artyści zabawiali tłum zachwyconych widzów, a luksusowe liniowce i fregaty rozpościerały żagle, ślizgając się po brzoskwiniowo-po-marańczowym morzu, wszystko wydawało się marzeniem, które nagle stało się rzeczywistością.

Odoczywali na pokrytym piaskiem nabrzeżu prywatnej rezydencji McGrory'ego aż do zachodu słońca,



popijając poncz rumowy i wymieniając długie, słodkie pocałunki. A nocą... nocą kochali się jak szaleńcy.

Wszystko było doskonałe. Słońce. Plaża. Mężczyzna.

I, jak wszystko, co dobre, szybko się skończyło.

Wracając do West Palm w poniedziałek rano, Rachael przeglądała gazety, starając się ugruntować sobie w myślach najważniejsze fakty. Nieważne, jaki był miły, wesoły i czuły, jak patrzył na nią czasem - tak, jakby uważał ją za jedyną kobietę na świecie. Nieważne, że ją kochał tak, jakby łączący ich akt wybiegał daleko poza sfery fizyczne ku czemuś, co zawsze jej umykało.

Ważne było to, że ich weekend składał się ze skradzionych chwil i że wkrótce te chwile się skończą, a wraz z nimi wszystko inne. Musiała pamiętać, że jest jedną z długiej kolejki kobiet, które podejmował i gościł, fundując im bilet do raju.

Raj.

Wszyscy, a zwłaszcza Rachael, wiedzieli, że raj nie istnieje. Raj to pakiet tematyczny z przejażdżkami i upojeniem adrenaliną. Raj to iluzja. A Rachael bez trudu przebijała wzrokiem dym i zwierciadła, dopatrując się rzeczywistości.

A rzeczywistość była taka, że Nate zostawi ją, albo ona jego. Rzeczywistość była taka, że gdy nadejdzie czas, nie pozwoli mu odejść ze swoim sercem.

- A zatem - rzekł Tony z domyślnym uśmiechem na twarzy - zawężam sprawę do samochodów, pieniędzy lub kobiet.

Siedzieli przy narożnym stoliku w barze Surf Club na Miami Beach.

Nate zmarszczył brwi i spojrzał na brata. Podczas kiedy on odziedziczył urodę po matce, Tony był odbiciem ojca. Jasna skóra, ciemne włosy i budowa obrońcy - oczywiście grał jako obrońca w zespole Florida State.

- Co? Nie mogę zaprosić brata na przyjacielskiego drinka bez wewnętrznych motywów?

- Ależ tak, możesz, ale i tak wiem, że to nieprawda. Już od dawna,

Nate zapatrzył się w szklanekę szkockiej z lodem i kciukiem starł parę ze szkła. Pianino w kącie grało cichą melodię, w powietrzu unosił się zapach lekko perfumowanych, kosztownych kubańskich cygar.

- Masz rację - rzekł wreszcie, spoglądając w poważną twarz brata. - To już zbyt długo trwa. Tony skinął głową i upił łyk drinka.

- Więc o co chodzi, braciszku?

Nate pokręcił głową, spojrzał ponad ramieniem Tony'ego na lustrzaną ścianę za eleganckim barem, pełną butelek z trunkami.

- Skąd wiedziałeś, że chodzi o miłość do Tii? Tony milczał przez chwilę. Oparł się wygodnie

i uważnie spojrzał na brata.

- Pytasz, skąd wiem, że chodzi o to, jak się zakochałem w Tii, czy o to, jak ty się w niej zakochałeś?

Nate poczuł, jak opada mu szczęka.

- Wiedziałeś? Wiedziałeś od początku?

- Czy wiedziałem, że kochasz się w mojej żonie? Ależ tak.

Nate syknął cicho i wypuścił powietrze.

- I nic nie zrobiłeś. Dlaczego? Tony wzruszył ramionami.

- Ponieważ tak starałeś się być uczciwy, ukryć to, nie dać po sobie niczego poznać.

Ponieważ Tia ukręciłaby mi głowę, gdybym to zrobił. I jeszcze...

- Czekaj. Chcesz powiedzieć, że Tia też wiedziała? - Nate poczuł się, jakby właśnie ktoś usunął spod niego krzesło.

Tony wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Obawiałem się tego”. Pochylił się w przód i dokończył myśl:

- Nie powiedziałem nic, ponieważ wiedziałem, że prędzej czy później sam się zorientujesz, że nie jesteś w niej zakochany.

Nate przyglądał się bratu długo i uważnie.

- Więc dlaczego nie zdradziłeś mi tej wielkiej mądrości?

- A czy to by coś zmieniło? - przyjaźnie zadrwił Tony. - Raczej nie. Po pierwsze, nie uwierzyłybyś mi. Po drugie, odbiłoby ci i w ogóle przestałybyś nas odwiedzać. Uznałem, że pewnego dnia sam zauważysz.

Sądząc z wyrazu twojej twarzy, ten dzień właśnie nadszedł, albo coś bardzo bliskiego. Albo coś bardzo bliskiego, pomyślał Nate, całkiem wytracony z równowagi tym, jak jego myśli wciąż krążą wokół Rachael i nie chcą przestać.

Wysączył szkocką jednym potężnym haustem i podniósł pustą szklanę z brzęczącym w niej lodem na znak, że prosi o kolejną porcję. Zaledwie odstawił pustą szklanę, kiedy w jej miejsce pojawiła się pełna.

- To bardzo trudne - wyznał, skinieniem głowy dziękując kelnerowi, kiedy nagle zorientował się, że jego brat ma dziwnie rozbawioną minę. - Jasne, śmieję się. Błazen ze mnie. Wielki dupek.

Tony tylko pokręcił głową i zaśmiał się.

- I tak padają wielcy tego świata. Aż miło popatrzeć.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparł Nate, trąc palcem szczękę. - Chyba się upiję.

Grymas Tony'ego nie był ani trochę współczujący.

- Może ci to dobrze zrobi. Kac doskonale działa na przerost ego. A kobieta potrafi z mężczyzny zrobić alkoholika. Więc to zapewne ta urocza i ulotna Rachael?

Nate zmarszczył brwi.

- Jak mogłem przez cały czas kochać Cię, a potem po prostu... po prostu... do licha! Co ze mnie za facet?

Tony westchnął głęboko, co miało znaczyć: ten wielki pajac naprawdę potrzebuje mojej pomocy, a ja się z tego cieszę.

- Może będę gadał jak profesor, ale wyłożę ci to jeszcze raz: po pierwsze, nigdy tak naprawdę nie kochałeś Tii, kochałeś tylko myśl o tym, że możesz ją kochać. Po drugie, to była tylko kwestia czasu, żeby jakieś słodkie maleństwo dało ci do zrozumienia, czego tak naprawdę ci brak. A po trzecie, nigdy naprawdę nie byłeś za...

- Nie mów tego - przerwał mu Nate z ponurym spojrzeniem. - Nie jestem jeszcze gotów.

- Więc kiedy będziesz?

Nate zapatrzył się w przestrzeń, całkiem zaskoczony pytaniem.

- Nie wiem. Nie potrafię się zdecydować. Nie potrafię zrozumieć Rachael. Lubię ją, bardzo. Szanuję. Jest wesoła, inteligentna i tak uparta, że przyprawia mnie o ból zębów.

- A ja myślę, że całkiem czego innego.

Nate podniósł wzrok w sufit. O, tak. Jej nieposkromiona namiętność przenicowała go doszczętnie.

- Napaliłeś się na tę małą, co?

Nate spojrzał na brata wzrokiem, który mógłby zabijać.

- O-la-la, podoba mi się to spojrzenie - zaśmiał się tamten bezczelnie. - Dałbyś mi w dziób za te słowa, co? Tak właśnie myślałem.

- Może i przydałoby ci się przemodelować oblicze - odparł Nate, czując, że uśmiech zupełnie zmienia sens tych słów. - Wrobiłeś mnie.

- Jasne. Jesteś łatwym łupem. Ta kobieta jest dla ciebie ważna, ale jeszcze nie wiesz, jak to rozgryźć.

- Nie wiem, jak ją rozgryźć. Ona nie chce się wiązać. Bardzo ciężko pracuje nad zachowaniem dystansu emocjonalnego. Tak jakby chciała udowodnić wszystkim dokoła, że to, co nas łączy, opiera się wyłącznie na pożądaniu fizycznym.

- A jak ty na to reagujesz?

- Obawiam się, że ją przestraszę, więc godzę się na to. Skoro tego chce... - nieświadomie zaczął postukiwać palcem o blat w rytm muzyki. - Jakiś skurwiel ją skrzywdził - dodał tonem wyjaśnienia. - Ona się nie otworzy przed nikim... nawet przede mną... żeby znów nie doznać krzywdy.

- A zamierzasz ją skrzywdzić? - spytał Tony po dłuższej chwili.

O rany. Nate wysączył drugą szkocką.

- Mam nadzieję, że nie. Dam jej trochę swobody.

- Przestanieś się z nią widywać?

- O, nie. Będę rozgrywał wszystko zgodnie z jej życzeniem, nie będę jej przytłaczał. A może, przy odpowiednio wolnym tempie, sami jakoś do tego dojdziemy.

Miał taką nadzieję.

Podobnie jak na to, że zorientuje się, dokąd właściwie zmierzają.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przezroczyście chmury bawiły się w chowanego z księżycem. Miękkie światło i rozkoszne zapachy wsączały się z tarasu przez otwarte okna sypialni Rachael, wplatając się w roztańczone cienie na zburzonej pościeli.

- Nie... żartowałeś.

Rachael z trudem chwytiała oddech. Tropikalna bryza chłodziła jej rozgrzaną skórę. Nate odsunął się od niej z pomrukiem zadowolenia.

- Z czym nie żartowałem?

- Ze jesteś silny jak byk.

Rzucił się na wznak obok niej i roześmiał z lekkim znużeniem. Był zadowolony, szczęśliwy i właściwie nie tak zmęczony, jak powinien.

- Z tym drugim też nie żartowałem. Że sprawię, iż będziesz krzyczała

A, o to chodziło. O jej ulubioną część. I o każdą minutę od dnia, kiedy zjawił się o dziesiątej rano, żeby zabrać ją wieczorem na zabawę. Przyniósł chińskie jedzenie i apetyt na coś bardziej sycącego.

Przeciągnęła się, leniwie obserwując obracające się łopatki wentylatora.

- Przechwalasz się, McGrory.

- A ty jesteś piękna.

Obróciła głowę na poduszce i spojrzała na niego. W jego oczach ujrzała czułość i zainteresowanie. Wydawał się taki pochłonięty nią... tą chwilą. Mówił rzeczy, których nie mógł przecież pomyśleć. Tęskniłem za tobą. Kocham cię.

Odsunęła od siebie tę idiotyczną myśl.

To tylko seks. Wspaniały, gorący seks. Taki był układ i takie są oczekiwania.

On jednak od kilku tygodni sprawiał, że jej oczekiwania rosły z minuty na minutę. W pięć minut później uczynił to po raz kolejny. Pochylił się nad nią, muskając ustami jej biodra.

Zdziwiona, podniecona, zachwycona spojrzała na niego.

- Znowu?

Uśmiechnął się i chwycił zębami cienką skórę.

- Znowu.

Uniosła ramiona nad głowę i zaśmiała się z zachwytem.

- Ty nie możesz być człowiekiem.

Nakrył ją swym ciałem, wspierając się na łokciach i kolanach, jak ogromny kot gotów do skoku. Pochylił się nad nią, muskając końcem języka jej pierś.

- Więc znasz już moją tajemnicę.



- Jaka... tajemnicę?

- Przybywam z planety Lexor - wymruczał, doprowadzając ją do szaleństwa pieścotami warg. - To gwiazda bardzo odległa od tej galaktyki, gdzie od dziecka szkolono mnie w dawaniu rozkoszy zielonookim i rudowłosym kobietom.

Zaśmiała się znowu, dławiąc westchnienie, a potem jęk, kiedy jego pieścoty zaczęły przybierać na intensywności.

- Mają tam więcej takich jak ty?

Ukąsił ją delikatnie i rozmasował to miejsce, leniwie pocierając je wargami.

- Nie dałabyś rady jeszcze jednemu takiemu dużemu jak ja.

Nie była pewna, czy da radę nawet jemu samemu. Na razie jednak nie chciała tego.

Wystarczyło jej, że to on się nią zajmuje. A on robił to... och... och... doskonale. Jego usta pieściły i laskotały, długie, silne i zwinne palce z wielką wprawą wynajdywały najbardziej wrażliwe miejsca.

- Nate... - wyszeptała. Mogła myśleć tylko

o nim, tylko jego czuła. Obdarzył ją niewypowiedzianą rozkoszą, pozbawioną egoizmu i wszelkich granic.

i tak doskonałą, że graniczyła z bólem.

Budził w niej uczucia tak przepyszne i tak wszechogarniające, że zatraciła się w zachwycie nad jego mroczną urodą. Gdy znów pochylił się nad nią, oczy miał pociemniałe, lecz błyszczące. Ujęła jego twarz

w dłonie i pocałowała go w usta, oddychając zmieszonym zapachem jego i własnego ciała. Tej nocy wszystko było właściwe i dozwolone.

A kiedy ich ciała zespoliły się, czas zatrzymał się w miejscu, wszystko... dosłownie wszystko w jej świecie znalazło się na swoim miejscu.

Rachael nie wierzyła, że tak już pozostanie, ale kiedy zasypiała, musiała sobie przypomnieć, że wszystko, co zdaje się zbyt piękne, by być prawdziwe, prawdopodobnie istotnie takie jest.

- Pani Buckley - mówiła Rachael do słuchawki w poniedziałek rano, usiłując nie panikować, kiedy Gweneth zażądała kolejnych zmian w sprawie ceremonii ślubnej córki - prawie w ostatniej chwili, gdyż wielkie wydarzenie miało się odbyć już w sobotę, za sześć dni. - Naprawdę, do jutra musimy wszystko pozamykać.

- Tak, ale to dopiero jutro, jutro. Nie ma co panikować. Naprawdę. Wszystko jest pod kontrolą. Chciałabym jednak coś zasugerować, jeśli można. Może zechciałaby pani w dowolnym, wygodnym dla pani momencie zajrzeć do mojego biura. Zarezerwuję sobie dla pani godzinę i przejrzymy wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Sądzę, że będzie pani bardziej zadowolona ze swoich decyzji, kiedy prześledzi pani wszystko, od pierwszej wersji poprzez kolejne zmiany, aż do ostatecznej. - Całe pięćset zmian, do-

dała z bezgłośnym grymasem. Oparła łokieć o blat i przycisnęła palce do skroni.

- Tak, druga trzydzieści, doskonale. - Szybko zanotowała, aby Sylvie przełożyła spotkanie z Lundstrumami na środę po południu, i zaczęła się zastanawiać, jak pozbyć się natrętnych myśli, które nieustannie ją dręczyły.

Nieskładne, poplątane myśli. Nagi Nate. Roześmiany Nate. Nate karmiący ją owocami mango w łóżku, by za chwilę zlizywać krople soku z jej ciała.

- Przejrzymy wszystko po kolei, od początku do końca - wyjaśniła, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości. - Zobaczysz pani, że wszystko układa się pięknie i harmonijnie. Pożałowała tych słów, zanim jeszcze je wypowiedziała, bo Gweneth Buckley podchwyciła temat, prosząc o jeszcze jedną drobnusieńką zmianę.

- Dwieście gołębic zamiast dwóch z pewnością jest ciekawym pomysłem - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - To będzie rzeczywiście spektakularny widok, a choć tradycyjnie wypuszcza się tylko dwa gołębice jako symbol wiecznej więzi małżeńskiej, istotnie nie jest to żelazna zasada. Zastanawiam się jednak

- dodała, myśląc gorączkowo, jak tu taktownie odwieść panią Buckley od tego katastrofalnego pomysłu

- skoro i tak wypuszczamy motyle, choć z pewnością nie będzie to przesada, jednak... -

„Spróbuj okrężną drogą”, mruknęła pod nosem - odejmie to chyba tro-

chę dramatyzmu. I jest jeszcze jedna rzecz, o której mogłaby pani pomyśleć - ciągnęła, modląc się, żeby dotarło. - Chodzi o wydalanie... jakby to ująć delikatnie? No cóż, najprościej mówiąc: dwieście ptaków to duża szansa zanieczyszczenia wspaniałych toalet. Zamrugła raz, a potem drugi, kiedy pani Buckley zaproponowała, aby to Rachael zajęła się tym problemem. Co? Może powinna wyprodukować zatyczki, a potem zainstalować je u dwustu ptaków?

Klient nasz pan. Klient nasz pan. Powtarzała tę mantrę przez kolejną godzinę, zanim zdołała się oderwać od telefonu,. Modliła się o cud. Na przykład, aby Gweneth Buckley zmieniła zdanie co do eskadry gołębi.

Masowała sobie skronie, usiłując przepędzić ból głowy, kiedy do gabinetu weszła Sylvie, zamknęła za sobą drzwi i obrzuciła ją wyczekującym spojrzeniem.

- Co? - zapytała Rachael.

- Byłam grzeczna, Rachael. Naprawdę. Nie pytałam. Nie węszyłam. Ale zaczynam pękać z ciekawości, co się dzieje z tym boskim darem. Puścisz wreszcie kiedyś farbę na temat Nate'a McGrory'ego, czy mam się uciec do przesłuchania?

- To, co robisz, tak wiele się od niego nie różni - zauważyła Rachael, lekko unosząc brwi.

- Szczegóły, Rachael, Proszę. Powiedz mi wszystko, zanim wpadnę w szok głodu informacji.

Diabeł tkwi zawsze w szczegółach. Rachael do-

skonale o tym wiedziała, lecz kiedy zaczynała o tym myśleć, czuła w piersi ogromną pustkę.

- Nie ma wiele do opowiadania - skłamała. Niewiele: wspaniały facet, wspaniałe chwile, wspaniały seks godny Księgi Rekordów Guinnessa.

- Czy matka ci nie mówiła, że od kłamstw wydłuża się nos?

Jeśli nawet na chwilę rozmarzyła się na myśl o Nacie, wzmianka o matce przywróciła ją do przytomności. Nie oddzwoniła do tej pory. Jakimś cudem cały miesiąc przeciekł jej między palcami i nie znalazła czasu, aby zadzwonić i przesunąć termin odwołanego obiadu.

W sumie to żałosne - nie mogła nawet zwierzyć się własnej matce. Własnej rodzinie. Nie mogła zaufać im na tyle, aby wpuścić ich do swego życia. Nate nie był rodziną. Był tylko mężczyzną, z którym można miło spędzić czas, nie zakochując się.

- Zbyt wiele sobie wyobrażasz, Sylvie - stwierdziła, patrząc asystentce prosto w oczy. - Znudzimy się sobie i to będzie koniec.

Na myśl o tym, że taki dzień nadejdzie, poczuła lekkie ukłucie w sercu.

Natychmiast pohamowała nieposłuszne myśli. Przecież już to przerabiała. Wszystko jest pod kontrolą. Kiedy przygoda się skończy, będzie na to przygotowana.

Nie potrzebuje Nate'a McGrory'ego. Nie potrze-

buje nikogo. Ma swoją pracę. Dawała sobie radę przed nim, da i po nim.

- I jak się wczoraj udała wielka uroczystość Buck-leyów? - zapytał Nate, kiedy siedzieli przy kolacji w domu Rachael w dzień po zakończeniu ceremonii. Podniósł kieliszek z winem do ust.

- Bez zająknięcia - odparła z ulgą. Ze śmiechem opowiadała mu o gołębiach i potencjalnej katastrofie. - Przynajmniej tak się wydawało. Zostałam do pierwszych tańców, a potem pałeczkę przejęli moi pracownicy. Cieszę się, że już po wszystkim.

- Lubisz to napięcie.

- Tak - odparła z uśmiechem zadumy. - Lubię. Może nie zmieniam historii i nie kształtuję globalnej gospodarki, ale jestem dobra w tym, co robię. Nie wiem, czy jest coś innego, czym chciałabym się zająć.

Pracowała zbyt ciężko i Nate wiedział o tym. Cieszył się w duchu, że zamiast wyprawy do miasta przygotowała warzywny kuskus i mahimahi z grilla, a do tego rzymską sałatę.

Podawała kolację na tarasie.

Siedziała naprzeciw niego w przejrzystej bladożółtej sukience. Podwinęła nogi pod siebie. Wydawała się taka młoda, delikatna i tak wrażliwa, że na pewno sama nigdy by się do tego nie przyznała.

Po rozmowie z Tonym i poważnym zastanowieniu się zrozumiał, że jego brat ma rację.

Nigdy tak naprawdę nie był zakochany w Tii. Kochał jedynie myśl

o tym, że jest w niej zakochany. Marzył o kobiecie, do której mógłby się przywiązać. O domu, o rodzinie, gdzie mógłby wracać. Nie chciał przyznać, że brat ma rację, ale tak było. Nate nigdy nie był zakochany. Do teraz.

Spoglądał na ukochaną kobietę i ostrożnie popijał wino. Stracił dla niej głowę.

Czuł, że i on nie jest jej obojętny, lecz wiedział, że Rachael walczy z tym uczuciem jak żołnierz broniący wolności granic. I dlatego nie mógł naciskać, nie mógł jej spłoszyć.

- Co się dzieje? - zapytała. Nate zrozumiał, że musiał wpatrywać się w nią usilnie. Wyraz troski w jej oczach świadczył, że istotnie się przestraszyła. Wyczuła, że stał się poważny i nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

Odetchnął głęboko i uśmiechnął się.

- Rozmyślałem. - Co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że cię kocham? Uciekłabyś jak królik, ot co - odpowiedział sam sobie.

- O czym? - zapytała, nagle podenerwowana.

- O... - miał to na końcu języka, ale stchórzył. -O deserze.

Napięcie jej ramion zelżało.

- Och, o tym. Nie zrobiłam deseru. Przepraszam. Więc rozmowy nie będzie. Przynajmniej nie dziś.

Mają czas. A on na razie miał co innego na głowie.

- Ty jesteś moim deserem, *mi corazón* - szepnął,

zerwał się miękko z krzesła i wziął ją w ramiona. Uniósł ją jak piórko i ruszył wprost w kierunku sypialni. - Będę potrzebował co najmniej dwóch dokładek.

- Och - szepnęła, obejmując go za szyję. - Cudownie.

*Mi corazón.*

Rachael obudziła się z mocnego snu w środku nocy. Serce waliło jej jak młotem. Słowa Nate'a wirowały jej w głowie jak szalone.

*Mi corazón.* Moje serce. Moja ukochana.

Poczuła, że się dusi. Usiadła na łóżku, odgarnęła włosy z twarzy i przycisnęła dłonie do rozgrzanych policzków.

Nigdy wcześniej nie miewała ataków niepokoju. Jej serce trzepotało jak skrzydła spłoszonego ptaka. Dłonie drżały. Nie mogła odetchnąć głęboko. Nie śniła. Była przerażona.

*Mi corazón.*

Przecież już wcześniej mówił do niej po hiszpańsku. W wirze namiętności, w środku gorącej nocy. Ale wtedy... to była namiętność.

Nigdy do tej pory nie wypowiedział tych słów w blasku dnia. A nawet jeśli, to przecież nie miało wielkiego znaczenia. Nie mogła w nie wierzyć. Nie była jego kochaniem. Wiedziała o tym.

*Mi corazón.*



Jej oczy napełniły się łzami, O Boże, Boże, Boże. On jej nie kochał, lecz ona jego tak. Niepokój, który ją zbudził, przerodził się w ból serca tak potężny, że zabrakło jej tchu. Spojrzała na niego przez łzy. Był taki piękny, a ona kochała go do szaleństwa. Na miękkich nogach wysunęła się z łóżka, zamknęła za sobą drzwi łazienki i oparła się o nie plecami.

Była zakochana.

Stała w ciemności przez długą chwilę, słysząc dudnienie pulsu w uszach i własny chrapliwy oddech. Nozdrza wypełniał jej czysty zapach melonowego szamponu i ostry odór paniki.

Wcisnęła pięść do ust, dławiąc falę łez.

- Cholera - szepnęła z rozpaczą. - Cholera, aleś ty głupia.

Jak to się mogło stać? Przecież miała już nie pożądać rzeczy, które nie są jej przeznaczone. Mężczyzny, który brał to, co mu dawała. Kochał ją. Potrzebował.

Osunęła się na podłogę, objęła ramionami kolana i oparła na nich czoło. Siedziała tak przez długi czas, bez łez, na zimnej posadzce, oparta plecami o twarde drzwi. Wreszcie ogarnęło ją otępienie. W tym pozbawionym czucia stanie czuła się bezpieczna tak długo, jak długo zachowywała wspomnienia.

Nie była już małą, bitą przez ojca dziewczynką. Była silną, dorosłą kobietą, lecz zachowała z dzieciństwa odruch samoobrony. Wiedziała, co ma zrobić.

Trudno będzie jej patrzeć, jak Nate odchodzi.

Resztę nocy spędziła w fotelu obok łóżka, obserwując śpiącego Nate'a i wyczekując poranka. Miała wrażenie, że osunął się na nią dziesięciopiętrowy budynek.

Musi to skończyć, póki jeszcze ma dość sił, aby się pozbierać po stracie.

Kawa parzyła się w ekspresie, gdy Nate, ubrany i gotów na spotkanie u Breakersów o 9.00, wszedł do kuchni.

Uśmiechnął się na widok Rachael stojącej przy zlewozmywaku. Ogarnęła go fala czułości, równie silna, jak żądza. Panna Slaomnisia w swojej granatowej spódnicy i żakiecie. Już nie musiał się zastanawiać, co pod nimi nosi. Wiedział doskonale.

- Dzień dobry - rzekł, podchodząc do niej. Podskoczyła, chwytając się za serce.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Hej? - dopiero teraz zauważył, jaka jest spięta. Ujął ją za ramiona i obrócił ku sobie. - Wszystko w porządku?

Spojrzała na niego poważnie i szybko odwróciła wzrok. Jej ręce były zimne jak lód, kiedy ujął je w swoje. Odsunęła się i naląła kawy do kubka.

Miał nadzieję, że przesadza, ale to puste spojrzenie i spuszczone oczy napełniły go złymi przeczuciami.

- Co się dzieje, Rachael?

Palce drżały jej lekko, choć bardzo starała się to ukryć, zaciskając je wokół żółtego kubka.

- Musimy porozmawiać - rzekła, unikając jego wzroku.

- Dobrze - odparł powoli, zdumiony własnym spokojem, choć całe jej zachowanie powinno go zaalarmować. - Porozmawiajmy.

- Myślę... - zaczęła i odstawiła kubek, obejmując się ramionami. - Myślę, że powinniśmy trochę ochłonać.

Wytrzeszczył oczy. Widział tylko czubek jej głowy, gdyż uparcie unikała jego wzroku.

- Ochłonać - powtórzył, słysząc we własnym głosie chłód stali, ale nie umiał, nie chciał tego zmienić.

Musiała wyczuć w tonie jego głosu, że jeśli nie spojrzy na niego, on ją do tego skłoni siłą, a wtedy będzie musiał jej dotknąć. Rachael nie chciała, by jej teraz dotykał.

Podniosła głowę, spojrzała mu wprost w oczy. Jej twarz wyrażała panikę i stoicką determinację.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale bezskutecznie.

- To wszystko dzieje się dla mnie trochę za szybko. Myślałam, że może... może powinniśmy na trochę przestać się widywać...

Zacisnął szczęki, żeby nie zakląć, ale opanował się szybko. Spokój, McGrory, to tylko atak przerażenia z jej strony. Nie ma się czym przejmować.

- Rzeczywiście, wszystko poszło bardzo szybko

- zgodził się. - I wspaniale. Naprawdę wspaniale. Nie jestem pewien, czy widzę jakikolwiek problem.

- Problem polega na tym, że dla mnie to... zbyt intensywne. Czuję się przytłoczona. -

Odwróciła się do niego plecami. - Uzgodniliśmy to, Nate. Kiedy wszystko się skończy...

- Czekaj chwilę. Co się kończy? - Już nie był spokojny. Z wielkim trudem opanowywał zdenerwowanie i gniew. Lecz i ona była równie spięta. Musiał użyć całej, naprawdę całej siły woli, żeby się uspokoić. - Rachael... dlaczego nie powiesz mi, o co naprawdę chodzi?

- O to, co uzgodniliśmy - odparła niemal z błaganiem w oczach. - Przecież się umówiliśmy, że kiedy jedno z nas będzie gotowe, aby odejść, drugie nie będzie go zatrzymywać.

- Ty uzgadniałaś. Nie ja. I nie mam zamiaru odchodzić. Do diaska, ty też nie. Nie - powstrzymał ją, kiedy otworzyła usta, by zaprotestować. - To nie ma nic wspólnego z nami. Ani nawet z naszą umową. Ty się po prostu boisz.

Przymknęła oczy i zacisnęła dłonie w pięści.

- Proszę, nie psuj tego.

- Psuć? - zaśmiał się z goryczą i uniósł dłoń. - Nie psuję, Rachael. Ty to robisz. To głupie, daj spokój. Nie pozwól, aby rozdzielił nas twój lęk.

- Nie boję się. Nie ma żadnych nas. Słuchaj, mam plany, mam pracę, a to nie pozwala na tworzenie

związków. Przykro mi. Jest tak, jak jest. Mieliśmy kilka miłych tygodni, prawda? To było wspaniałe, ale się skończyło.

- Skończyło? Tak po prostu? Bo boisz się sprawdzić, do czego to wszystko zmierza? - zawołał, zastanawiając się, jak do niej dotrzeć.

- Bo się skończyło - odparła, podnosząc głos. Jej policzki zabarwiły się lekkim różem. - Wiem, że to dla ciebie nowina, ale nie ty ustalasz zasady. Nie ty tu rządzisz. Ty zacząłeś. A choć przykro mi to mówić, ja zamierzam to skończyć.

- A jeśli powiem, że nigdzie nie pójdę? - zawołał głosem schrypniętym z wściekłości i paniki.

- Przypomnę ci o naszej umowie.

- Wiesz, co możesz zrobić z tą umową? - Do tej pory nic nie pomagało. Trudno. Może teraz do niej dotrze. Pójdzie na całość. - Rachael... Kocham cię.

Skrzywiła się, jakby ją uderzył. Przez kilka długich, bolesnych sekund przyglądała mu się w milczeniu, po czym odwróciła wzrok.

- Lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz.

- To wszystko? - Otumaniony, ruszył za nią do drzwi frontowych, z niedowierzaniem patrząc, jak Rachael otwiera je na oścież. - Mówię ci, że cię kocham, a ty pokazujesz mi cholerne drzwi?

- Żegnaj, Nate.

Potał dłońią twarz, żeby nie wybić pięścią dziury w ścianie.

- Rachael, powiedz mi, co się stało między północą a tą chwilą. Dlaczego się tak boisz?

- Nie boję się.

- Pewnie. Przeraza cię śmiertelnie to, co jest między nami. Tak, że nie jesteś w stanie normalnie myśleć. - Zaklął z cicha, kiedy nie odpowiedziała mu, lecz spokojnie czekała, co jeszcze ma do powiedzenia. - Rachael, nigdy nie przypuszczałem, że jesteś tchórzem. Mam dość mówienia do czubka twojej głowy, do diaska. Spójrz na mnie. Spójrz i powiedz, że nie chcesz mnie w swoim życiu.

Powoli podniosła głowę. Jej zielone oczy były przejrzyste jak szklane kulki.

- Odejdź. Natychmiast.

Beznadziejne. W tym stanie ducha nie dało się z nią porozmawiać. Zamknęła się w sobie. Nate odetchnął.

- Dobrze. - Tej rundy i tak już nie wygra. Nie dziś. - Idę. Ale proszę, żebyś to sobie przemyślała. Musisz mi przyznać rację. Nie chodzi o nas. Z nami wszystko w porządku. Nie chodzi nawet o mnie. Chodzi o ciebie. Ktoś cię skrzywdził. Skrzywdził tak mocno, że teraz cały czas się boisz. Wszyscy się boimy, Rachael - dodał, ogarnięty taką mieszaniną gniewu, miłości i cierpienia, że bał się jej dotknąć. - Myślisz, że tylko ty się boisz? Pomyśl. Wszyscy się czegoś boimy - powtarzał. - Po prostu niektórzy radzą sobie z tym lepiej niż inni.

Zacisnął rękę na klamce, aż zbieleły mu kostki. Przekroczył próg, ale zatrzymał się z jedną ręką na framudze. Obejrzał się.

- Kto cię tak skrzywdził? Możesz mi powiedzieć?

- Proszę... odejdz. ;

- Nie mogę z tym walczyć. Nie mogę pokonać czegoś, co zdarzyło się, zanim cię spotkałem, jeśli ty sama tego nie chcesz. Nie mogę naprawić tego złego, co dzieje się w twoim życiu, jeśli nie wiem, co to jest.

Spoglądała poprzez niego, w miejsce, gdzie nie mógł jej dosięgnąć.

- Wiesz, jak mnie znaleźć - rzekł wreszcie, przyglądając jej się badawczo, a potem odwrócił się i wyszedł.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

- Nic ci nie jest? - spytała Sylvie, kiedy o dziewiątej Rachael przekroczyła próg biura. I to tyle jeśli chodzi o ukrywanie uczuć. Cóż, prawdę mówiąc, Rachael nie miała sił na najbledszy nawet uśmiech. Podobnie jak na walkę z macierzyńskimi tendencjami Sylvie.

- Muszę sprawdzić faktury Buckleyów. Możesz mi podać teczkę?

- Kochanie - Sylvie weszła za nią do gabinetu - co się dzieje?

Rachael potrząsnęła głową, obawiając się, że łzy znowu popłyną.

- Nic takiego. Muszę tylko popracować, wiesz?

- Dobrze - ostrożnie odparła asystentka. - Chciałam tylko powiedzieć... że gdybyś potrzebowała rozmowy.

Rachael przełknęła ślinę, skinęła głową i próbowała dać Sylvie do zrozumienia, że w tej chwili najbardziej potrzebuje spokoju.



Czuła się, jakby ktoś wbił jej w brzuch zardzewiały, tępy nóż. I była to wyłącznie jej wina. Nie, Nate'a też. Bo ją w sobie rozkochał.

*Kocham cię.*

Po co to powiedział? Tępo wpatrywała się w dokumentację, którą Sylvie rozłożyła jej na biurku. Po co powiedział jej coś, w co sam nie mógł wierzyć? Wszyscy nieustannie to powtarzają, a nikt nie przywiązuje do tych słów wagi. To nic nie znaczy. W jego ustach też. Ale Boże, jakże to boli. Nie wyobrażała sobie, że można cierpieć aż tak.

Pewna, że zakończyła sprawę w samą porę, zabrała się do roboty, postanawiając, że zapomni się w pracy.

- Rachael?

Podniosła wzrok. W progu gabinetu stała Sylvie.

- Pan Iverson prosi do swojego gabinetu. Natychmiast.

Iverson był jej bezpośrednim zwierzchnikiem.

- Zapomniałam o czymś?

- Raczej nie. Może chce ci pogratulować ślubu Buckleyów. To było wielkie wydarzenie dla hotelu. Może oznaczać wiele dalszych zleceń.

Rachael wstała i ruszyła w kierunku wyjścia. Była już całkowicie opanowana. To przynajmniej rozumiała. Dla tego żyła. Dla swojej pracy.

- Nie mam żadnych spotkań do popołudnia, więc tylko zapisuj, kto dzwoni.

Nagle znów poczuła grunt pod nogami. Praca była tym, na co mogła liczyć na dłuższą metę. Dzięki niej zapomni o Nacie.

- Powiedział pan... zawieszona? - Rachael z niedowierzaniem spoglądała na Iversona poprzez lakierowany blat biurka.

Mężczyzna uprzejmie się skrzywił.

- Tymczasowo. Musimy sprawdzić, co się za tym kryje.

- Za czym? Nie rozumiem. Nic a nic.

William Iverson był doskonale wysportowanym, łysiejącym panem około pięćdziesiątki. Pobladł lekko.

- To suka - rzekł z zaskakującym brakiem profesjonalizmu. - Obiecuję, że cię przywrócę albo przeniosę na inne, lepsze stanowisko. W ciągu kilku tygodni... najwyżej miesiąca.

- Nie chcę przeniesienia, nie chodzi też o przywrócenie do pracy. Nie zrobiłam nic złego. - Wstała i ze skrzyżowanymi na piersi rękami podeszła do okna. Obróciła się i spojrzała na niego. Wściekłość zaczęła przerastać zaskoczenie. - Buckleyowie mieli problem, choć zdawało się, że ślub przeszedł bez najmniejszej wpadki. Gołębie zrobiły po prostu to, co zwykle robią, choć radziłam Gweneth, aby z nich zrezygnowała. Obdarowały nieoczekiwanym prezentem jedną z obecnych na uroczystości matron Aniołów Miłosierdzia.

- A dokładnie narobiły jej na włosy - posępnie uzupełnił Iverson. - I to nie było komu, bo głównej anielicy.

Rachael ciągnęła, jakby nie słyszała jego uwagi:

- A Gweneth obwiniła o to mnie. I to jest główny powód zawieszenia, tak? Dlaczego?

- Ponieważ Gweneth Buckley nie może stracić twarzy przed matronami z towarzystwa. I uznała, że w tym celu potrzebny jej kozioł ofiarny. Padło na ciebie. Zadzwoiła nie tylko do dyrektora, lecz także do kilku udziałowców, żądając, aby cię wydalono.

- Przecież to śmieszne!

- Rachael... czy ty nie rozumiesz, że te kobiety rządzą gospodarką Palm Beach?

- Och, doskonale to rozumiem. Chyba nikt tak się nie starał zadowolić tych dam, jak ja.

Dałam Gweneth Buckley wszystko, czego żądała. Urządziłam wspaniały ślub. Gdyby nie zażądała tych cholernych gołębi, byłby absolutnie doskonały... a teraz rozumiem, że zamierza zniszczyć mnie, aby uratować twarz. Powtarzam, to zbyt śmieszne, żeby to określić słowami.

- Zgadza się, ale i tak muszę cię zawiesić.

- Czy zdaje sobie pan sprawę, że prosi się pan o proces? - syknęła, zbyt wściekła, by być zdumiona.

- Rachael, to się tak nie musi skończyć. Coś wymyślimy.

- O, z pewnością. Daję wam tydzień, a potem proszę się kontaktować z moim prawnikiem.

- Nie rób nic pochopnego. Pomyśl chwilę. Popatrz na to z punktu widzenia kierownictwa hotelu. Czy wiesz, ile dolarów inwestuje rocznie w Royal Palms Pettibone Pharmaceuticals? Miliony. Może nawet pięćdziesiąt procent zysków z imprez. A wiesz, jakie jest panieńskie nazwisko pani Buckley?

- Mam zgadywać? - zapytała sarkastycznie. - Pewnie Pettibone.

- Właśnie. Nie możemy sobie pozwolić na jej stratę. Nasi udziałowcy wiedzą o tym. Postaraj się zrozumieć naszą sytuację. Zrobiłbym wszystko, aby tak się nie stało.

- Wszystko, z wyjątkiem pozostawienia mnie w pracy - odparła beznamiętnie.

- Nie opuszczaj nas, wszystko będzie dobrze.

- Jasne. Tak samo jak wy nie opuściliście mnie.

- Co, awans i podwyżka? - zapytała niespokojnie Sylvie, kiedy Rachael weszła do gabinetu w piętnaście minut później, wyminęła ją i ciężko usiadła za biurkiem. Ukryła twarz w dłoniach - czuła się fizycznie chora. Śmiertelnie zraniona.

- Rachael?

Powoli podniosła głowę i drżącą ręką sięgnęła po torebkę.

- Zawiesili mnie - oznajmiła. - Na czas nieokreślony.

- Co?

Rachael wyjaśniła jej w krótkich, oszczędnych zdaniach.

- O Boże, Rachael, to takie niesprawiedliwe. Jak oni mogli?

Rachael potarła skroń palcami.

- Jak stado psów żebrzących o kość.

Wstała i zamknęła szufladę. Rozejrzała się po gabinecie, podeszła do półki. Zdjęła z niej rodzinną fotografię i wsadziła sobie pod pachę, po czym ruszyła w kierunku drzwi.

- Rachael?

Przystanąła, obróciła się i pozwoliła przytulić się Sylvie.

- Nie pozwól, żeby im to uszło płazem.

- Nie zamierzam. Ale muszę stąd wyjść, zanim zrobię coś głupiego.

Na przykład się rozpłaczę.

Dojechała do domu jak pogrążona w koszmarnym śnie. Przyływ adrenaliny trwał jeszcze może z piętnaście minut, ale kiedy została sama, mogła przestać udawać.

Płakała. Krzyczała. Rzucała przedmiotami i dalej płakała. Całymi dniami leżała w zamknięciu, zasłaniając okna roletami. Pogrążyła się w najmroczniejszej, najgłębszej rozpacz.

Tęskniła za Nate'em, za jego ramionami. Chciała, by ją przytulił i odpędził ból.

Ale Nate'a nie było. I nigdy nie wróci. Wszystko, co stanowiło o sensie jej życia, przepadło.

Nie odbierała telefonów, nie wpuściła Sylvie.

Nie jadła, nie spała. Nie mogła zrozumieć tego, co się stało. Nie była niczemu winna, prowadziła Brides Urdimited lepiej niż ktokolwiek inny.

I do czego doszła? Była pokonana, pobita i całkiem sama.

Czwartego dnia osunęła się na samo dno i odbiła się. Spojrzała na żalospny strzęp człowieka w lustrze i podjęła decyzję. Koniec z rozpaczą.

Potrzebowała tego czasu, żeby oplakać swoje życie. Ale to już koniec. Musi żyć dalej. I musi się zemścić.

W słusznym gniewie podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer jedyne go człowieka, któremu chciała ufać i wierzyć.

Nate opadł na fotel, rzucając marynarkę na bok. Zawinął rękawy koszuli, poluzował krawat. Po lewej stronie siedział szef kancelarii, Bryan Morgan, po prawej sekretarka, Clarice Fox. Po drugiej stronie stołu konferencyjnego usiedli bracia Borlinowie, jego najnowsi klienci, procesujący się o naruszenie praw patentowych.

Kiedy światelko interkomu pod jego łokciem zaświeciło się, zeszywniał. Podał centrali nazwisko tylko jednej osoby, którą można było łączyć.

- Przepraszam - rzekł pod adresem całej grupy. Przez długą chwilę wahał się, czy wziąć słuchawkę.
  - Słucham?
  - Rachael Matthews na linii pierwszej, sir. Odetchnął głęboko.
  - Proszę łączyć do mojego gabinetu. Tam odbiorę.
  - Przepraszam - rzekł wstając. - Muszę odebrać rozmowę. Pozostawiam was, panowie, w dobrych rękach Bryana - zapewnił Borlinów i bez dalszych wyjaśnień wyszedł z sali.
  - Rachael - szepnął i usiadł za biurkiem. - Witaj. Milczenie. Wyobraził sobie, jak ściska słuchawkę.
- Czekał. To ona dzwoniła. To jej ruch i ona musiała go dokończyć.
- Przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy.
  - Nie szkodzi - zapewnił, zaniepokojony napięciem w jej głosie. - Jak się masz?
- Tak bardzo za nią tęsknił.
- Szczerze? Nie najlepiej.
- O, zdecydowanie. Słyszał to w jej głosie. Minęła dłuższa chwila, zanim Rachael odezwała się znowu.
- Nate... potrzebuję prawnika.
- Nate potrzebował kilku sekund. Nie tego się spodziewał, nie na to czekał.
- Prawnika?
  - Nie znam żadnego innego, tylko ciebie. Może poradzisz mi kogoś w West Palm, na kogo mogę liczyć.

Spojrzał w okno na roztaczającą się w dole Miami Beach i próbował opanować rozczarowanie. No cóż, nie zadzwoniła z wyznaniem wiecznej miłości. Trudno. Niech będzie choć tyle.

- Opowiedz mi, co się stało.

Słuchał uważnie i notował, kręcąc głową. Dzielił jej ból, który tak dzielnie starała się ukrywać. Wiedział, ile znaczyła dla niej ta praca, że zabrano jej nie tylko stanowisko i zarobek, lecz również dumę.

- Załatwię to - rzekł po prostu.

- Och nie, nie chciałam ci zawracać głowy.

- Załatwię to - powtórzył stanowczo. - Dla ciebie, Rachael. Możesz mi zaufać, że wszystko naprawię.

- Nate.

Ale on już odłożył słuchawkę.

- A, tu się podziiała ta sukienka - mruknęła Rachael do siebie, grzebiąc w szafie w pokoju gościnnym. Sprzątała już od trzech dni, a tej sukni nie widziała od czterech lat.

Szara. Elegancka. Skromna. Nudna. Zdjęła ją z wieszaka i rzuciła na stos ubrań dla biednych. Znalazła w szafach zbyt wiele brzydkich, nudnych strojów. Nie wiedziała też, że ma tyle ładnych, kolorowych, zalotnych ciuszków. \_ Kilka dni spędzonych na litowaniu się nad sobą sprawiło, że z radością zaczęła wydobywać się z tego



bagna, które, choć ohydne i ponizające, stało się jednak najlepszą rzeczą, jaka ją spotkała. Zmusiło ją do zastanowienia się nad własnymi uczuciami — uczuciami, które do tej pory usiłowała podmieść pod dywan.

Czuła się wspaniale. Wolna. Jakby całkiem odmieniła swoją duszę.

Jej otoczenie także wymagało odmiany. Wkrótce pomaluje je na wesołe, jasne kolory.

Miała dość białych ścian i przemykania kolorów w postaci starannie dobranych akcesoriów. Tak, jej obrazy były śmiałe, ale życie - nie. Zwłaszcza teraz, kiedy nie miała już Nate'a.

Była zbyt ostrożna. Była tchórzem. I do czego ją to doprowadziło? Samotna. Bez pracy. Właściwie żałosna istota.

Odkąd straciła pracę i usunęła się z życia Nate'a, a było to zaledwie kilka dni temu, dowiedziała się o sobie wielu rzeczy i nie wszystkie były miłe. Dowiedziała się o sobie jeszcze więcej, kiedy pokonała stare demony i zaprosiła matkę na długą rozmowę.

Teraz rozumiała znacznie więcej. Wiedziała. Powinna pluć sobie w brodę, że wcześniej nie porozmawiała z matką. Będzie musiała naprawić wiele błędów, które popełniła, kierując się fałszywymi pojęciami.

Przede wszystkim Nate. Tak bardzo za nim tęskniła. Chciała, żeby wrócił. Nie wiedziała tylko, jak się do tego zabrać.

Najpierw jednak musi pomyśleć, co powinna zrobić ze swoim życiem. Finansowo była zabezpieczona na kilka miesięcy, wytrzyma, dopóki nie znajdzie nowego źródła utrzymania.

Nie oznaczało to, że nie ufała w zdolności Nate'a. Zdecydowała jednak, że nie zamierza wracać do Royal Palms. Jeśli tylko tyle mają jej do zaoferowania w zamian za to, co im dała, to po prostu zbyt mało.

- Jestem dość dobra, dość silna i uparta. Podobam się sobie - powiedziała do swojego odbicia w lustrze.

Sama dziwiła się euforii, jaką ogarnęła. Wszystko nagle zrozumiała. Była silniejsza. A kiedy odezwał się dzwonek i po drugiej stronie linii usłyszała głos Nate'a, wiedziała, że potrafi stawić czoło zarówno jemu, jak i swoim uczuciom.

Wiedziała, że przyjedzie, bo Sylvie uprzedziła ją wcześniej. Pomimo tego serce drżało jej radośnie. Gdyby nie zjawił się tu dzisiaj, ona pójdzie do niego jutro.

Wpuściła go przez zabezpieczoną furtkę, po czym szybko wciągnęła białe szorty i jaskrawoczerwoną, króciutką bluzeczkę. Miała pięć minut, aby się uczesać, bo tyle czasu zajmował przejazd od bramy do drzwi frontowych.

Stara Rachael Matthews przez kilka dni przygotowywała się do tego spotkania. Nowa - nie. Nowa Rachael planowała działać wprost i do diabła z wszyst-

kimi strachami. Nie bała się, że zatonie, zamiast pływać.

Wiedziała już wszystko, co musiała wiedzieć: czego potrzebuje i na co zasługuje. I zamierzała to dostać, jeśli tylko będzie w stanie. A zacznie od dziś.

Szybko spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

- Uda ci się - rzekła serdecznie. - Uda ci się na pewno.

Nate długo przygotowywał się na spotkanie z Rachael. Rozmawiał z Sylvie. Wiedział, jak była załamana po zawieszeniu jej przez Iversona. Pamiętał wyraz jej oczu, kiedy mu powiedziała, że między nimi wszystko skończone. I stłumiony porażką głos, kiedy poprosiła go o znalezienie prawnika.

Cierpiała, była przerażona, a on tęsknił tylko za tym, aby wziąć ją w objęcia i ukoić jej lęki.

Kochać tak długo, aż zapomni o bólu.

Gotów był zatem na wszystko, tylko nie na to, co ujrzał, kiedy drzwi stanęły otworem. Na wszystko, tylko nie na widok tej kobiety.

- Hej - powiedziała z lekkim uśmiechem w kącikach ust.

- Och... hej.

Ta kobieta nie wyglądała na pokonaną. Ani na zrozpaczoną. Przeciwnie, jej widok zatamował mu dech w piersi.

- Masz zamiar wejść, czy nie? - zapytała z radosnym błyskiem w oku.

Radosnym?

- Wszystko w porządku? - zapytał ostrożnie. Coś tu nie pasowało. - Rachael... ty piłaś?

- Ani kropelki - roześmiała się. - Wejdz. Musimy porozmawiać.

- Dobrze. Po to właśnie tu jestem. Musimy porozmawiać o twojej pracy.

Pokręciła głową, machnęła ręką.

- Nie, nie chcę o tym mówić. Jeszcze nie, chcę porozmawiać o nas.

- O nas? - wyjąkał. Nie spodziewał się takiego wyglądu, takiego nastroju, pewności siebie.

A te dwa króciutkie słowa sprawiły, że nabrał nadziei tak szalonej, iż musiał siłą sprowadzać się na ziemię. -O nas? - powtórzył ostrożnie. - Myślałem, że nie ma żadnych nas.

Spoważniała, wzięła go za rękę i poprowadziła na sofę. Usiadła, krzyżując smukłe, jedwabiste nogi.

- Usiądź, proszę.

- Rachael.

- Nie, czekaj. Wiem, że nie zasługuję, abyś mnie wysłuchał, byłam okropna i bardzo mi przykro. Muszę wszystko wyjaśnić. Pozwolisz? Dasz mi szansę?

Dałby jej wszystko, ale nie mógł jej tego powiedzieć wprost. Kiedy ostatnio mówił, że wszyscy są podatni na ból, nie kłamał. Do tej pory cierpiał na

wspomnienie sposobu, w jaki wyprosiła go z domu i z życia. Nie był gotów na to, aby jej znów i bezgranicznie zaufać i znowu ponieść klęskę.

Usiadł zatem i czekał, modląc się, by miała mu do powiedzenia coś, co chciał usłyszeć.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Rachael obserwowała go z niepokojem. Poczwała, że kocha go jeszcze bardziej.

Chciała mu to powiedzieć, ale wcześniej winna mu była co innego. Wyjaśnienie.

- Cóż - zaczęła, zakładając za ucho kosmyk włosów. - To jednak trudniejsze, niż sądziłam.

- Co jest takie trudne, Rachael? - zapytał ostrożnie. W jego oczach pojawił się nagle ból i wiedziała, że to z powodu jej wahania. Nie chciała sprawiać mu dalszych cierpień, już nigdy.

- Przyznanie się do błędu. Nikt nie lubi ich popełniać, zwłaszcza ja, a tym bardziej trudno mi się pogodzić z tym, ile ich popełniłam. Muszę wszystko naprawić. - Odetchnęła głęboko. - Bądź cierpliwy... po prostu spróbuję ci wszystko opowiedzieć, dobrze?

Skinął głową, ukrywając emocje pod nieruchomą maską. Maską prawnika.

- Wystraszyłeś mnie śmiertelnie - oznajmiła z uśmiechem. - Kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy, powiedziałam sobie, że nie powinnam poddawać się

uczuciom, które, we mnie wzbudziłeś. Jesteś wszystkim, czego zawsze pragnęłam. Bałam się wierzyć, że kiedykolwiek to osiągnę. Dlatego tak bardzo chciałam cię odepchnąć. Ale to chyba już wiesz, prawda? Wziął ją za rękę i czekał.- Nie wiesz tylko dlaczego. Jestem żalosna, to właśnie chciałam ci powiedzieć. Nie, nie jestem. Byłam. - Odetchnęła głęboko.

- No cóż, skończmy z tym raz na zawsze.

Ścisnął lekko jej dłonie.

- Skończmy.

- Muszę wrócić do przeszłości. Miałam trudne dzieciństwo. Ojciec... No cóż, powiedzmy, że pamiętam głównie jego pięści. I twarz. Czerwoną, z nabrzmiałymi żyłami, kiedy krzyczał na matkę. Raz wylądowała przez niego w szpitalu.

- Rachael...

Potrząsnęła głową i mocniej chwyciła go za rękę.

- Nie, muszę to wszystko powiedzieć. Wiele razy uciekałyśmy z domu do schroniska, zanim mama odważyła się go opuścić. Miałam wtedy dziewięć lat. Pamiętam pełne litości spojrzenia wolontariuszy i przerażone twarze innych dzieci, które uciekały tak samo, jak my.

Zaczerpnęła tchu, relacjonując mu losy swojej rodziny, a on gładził kciukami jej dłonie.

- Wreszcie okazało się, że nie jestem już dla nich ważna - kończyła. - Należałam do przeszłości, którą

chciała zapomnieć, i nie było dla mnie miejsca w jej przyszłości.

- Ale to nie była prawda?

- Nie. - Uśmiechnęła się smutno. - Mama zapadła na depresję i odwróciła się od wszystkich. Biedny John. Sam musiał się zajmować dziećmi. Dobrze, że choć ja radziłam sobie sama. Nie mogłam tylko zrozumieć, że to nie moja wina. Że nie dotyczy wyłącznie mnie.

- Ale dotyczyło cię... w jakimś stopniu. Poczułaś się niekochana, niechciana, samotna...  
Skinęła głową.

- Dzięki, że to powiedziałeś. Właśnie tak się czułam. Wycofywałam się stopniowo. Nawet kiedy mama zwalczyła depresję, pozwoliłam jej oglądać się wyłącznie jako samodzielna kobieta, która już jej nie potrzebuje.

- Nie potrzebowałaś jej, więc nie mogła cię skrzywdzić?  
Zacisnęła wargi i przytaknęła.

- I tak przepaść między nami rosła i pogłębiała się. Obie sądziłyśmy, że tego właśnie chcemy.

Urwała, spojrzała na ich splecione dłonie, czerpiąc otuchę z jego dotyku.

- A teraz ty.

- Myślę, że wiem, o co chodzi. Odruchowa reakcja: skoro nikt cię do tej pory nie kochał, jak ja mógłbym cię pokochać? Albo ktokolwiek?



Skinęła głową.

- Miałam doskonałe podstawy, żeby udowodniać tę teorię, i odpychałam każdego, kto próbował bodaj wspomnieć o jakimkolwiek trwałym związku.

- Prawie żałuję tych wszystkich biedaków -mruknął.

- A ja nie. Nie kochałam ich. Żadnego.

- A teraz? Co teraz?

Jego oczy były ciemne i współczujące, pełne tęsknoty i miłości. Miała wrażenie, że za chwilę serce jej pęknie.

- Teraz wiem, co to znaczy miłość - powiedziała bez wahania. - Wcześniej nigdy się o nią nawet nie otarłam.

Uśmiechnął się ciepło. Tęskniła za tym uśmiechem dniem i nocą, choć sama go odepchnęła.

- A teraz, Rachael? Czy jesteś blisko?

- Blisko - odparła, unosząc dłoń i kładąc ją na sercu. - Czuję jej dotknięcie.

Położył rękę na jej dłoni.

- Czy powiesz to wreszcie? Zaśmiała się i padła mu w objęcia.

- Myślałam, że już to powiedziałam, to dla mnie ogromny krok naprzód, panie McGrory.

- Wiem.

- Mogę ci tylko obiecać, że od tej pory będę szczerą. Nie będę ukrywać ani uczuć, ani potrzeb.

- Ależ ja wiem, czego potrzebujesz. Mnie. Czło-

wieka, który będzie cię rozumiał. To ja jestem facetem, który będzie czekał na ciebie, kiedy się w sobie zamkniesz. Kocham cię, Rachael. Nie pozwolę ci się odepchnąć.

Cofnęła się, żeby spojrzeć w jego piękne rysy.

- Za to cię kocham, McGrory. Nie poddajesz się.

- Nie wtedy, kiedy chodzi o ciebie.

- Kocham cię - szeptała, przyciskając usta do jego czoła. - I twój uśmiech, i śmiech, i bystry umysł, i szczodre serce - kolejny pocałunek, tym razem w usta. Nie mogła przestać. - Kocham cię za to, że tu jesteś, choć byłam taka niedobra. I za to, że nie wyszedłeś, że pozwoliłeś mi się wygadać, opowiedzieć o mojej melo-dramatycznej i dramatycznej młodości.

Przerwał jej pocałunkiem tak pełnym czułości i troski, że łzy popłynęły jej z oczu.

- Nie umniejszaj swoich zasług. Mimo traumatycznego dzieciństwa stałaś się silną, upartą i samodzielną kobietą, którą kocham za to jeszcze bardziej.

Oparła głowę o jego czoło.

- Dziękuję, że nie zrezygnowałeś.

- Kiedy już wydałem małą fortunę na kwiaty i klub Mara Lago?

Uśmiechnęła się i wsunęła palce w jego włosy.

- Tak.

- I kiedy podbiłaś mi oko i rozcięłaś wargę?

- Mhmmm... tak. - Czule dotknęła palcami kącika jego ust. - Nigdy nie zrezygnujesz, co?

- Tak jak nigdy nie zrezygnuję z ciebie.
- Obiecujesz?
- Obiecuję. Od tej chwili czeka cię wyłącznie szczęście w miłości.
- Dzisiejszej nocy też?

Zaśmiał się i ułożył ją na poduszkach sofy, delikatnie zsuwając z jej ramienia szelkę bluzki.

- Powiedziałbym, że nawet bardzo, bardzo wielkie szczęście - wyszeptał, zanurzając usta w jej dekolt.
- Może tak właśnie miało być - mruknęła Ra-chael, kiedy oboje z Nate'em przebudzili się z półsnu w ciemnej sypialni. Uniosła głowę i oparła na dłoniach, spoczywających na jego piersi.
- Może - zgodził się, wodząc dłońmi po jej ciele, rozkoszując się dotknięciem nagiej, aksamitnej skóry.

Kochali się, rozmawiali i znów się kochali. Opowiedział jej o Tii i o tym, jak sądził, że ją kocha, dopóki nie spotkał Rachael.

- 'A, prawie zapomniałem - mruknął leniwie. - Masz z powrotem swoją pracę.

Cofnęła się, odpychając się dłońmi od jego piersi.

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem i zaśmiała się. - Jak?

Przyciągnął ją do siebie i lekko ugryzł w ramię.

- Jak wszystko w Palm Beach. Zadzwoń do odpowiednich ludzi, piejąc peany na twoją cześć,

a oni do innych ludzi, a ci znowu do Aniołów Miłosierdzia, które wywarły nacisk na panią B. i *voilà*, aby uratować twarz, musiała sama podzwonić i poprosić o przywrócenie cię do pracy. Ujęła jego twarz w dłonie.

- Zdumiewające. Dziękuję. Dziękuję, że to dla mnie zrobiłeś. A teraz, czy będziesz się gniewał, jeśli powiem, że tam nie wrócę?

- Ponieważ zasługujesz na coś lepszego?

- Właśnie.

Zaśmiał się i uściskał ją mocno.

- Wiedziałem, że kiedyś to z ciebie wylezie. Dopilnowałem, żeby hotel zaoferował również dodatkowe odszkodowanie za zniesławienie imienia, stratę zarobków, ból, cierpienia, i wszystko inne, co mi przyszło do głowy.

Zachichotała.

- Ból i cierpienie. Podoba mi się.

- To ci się spodoba jeszcze bardziej. - Wymienił kwotę, jaką wydusił z siebie zarząd hotelu, aby uniknąć procesu, który mu groził.

- Niemożliwe! - zawołała i zerwała się.

Wyglądała tak pięknie, naga, zaróżowiona i kusząca, że musiał prawie siłą ułożyć ją z powrotem w pościeli, aby uzyskać od niej wszystkie wyrazy wdzięczności, jakimi zamierzała go obdarzyć.

- Chcę tego, co ma Tony - szepnął wreszcie. Oparła się o niego i ziewnęła.

- Rywalizacja między rodzeństwem? Spodobało mu się, że tak ufa jego miłości.
- Chcę wszystkiego, Rachael. Chcę się z tobą ożenić. Uniosła się na łokciu, jej oczy lśniły w mroku jak szmaragdy.
- No cóż... czy to nie szczęśliwy zbieg okoliczności? Znam świetną firmę, która organizuje wesela. A dla ciebie chyba będzie miała smakowitą ofertę.
- Już dostałem smakowitą ofertę - tak smakowitą, jak pocałunek, który ich na chwilę połączył.
- Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.
- Przyjmuje, że to oznacza zgodę? Tak?
- Zdecydowanie oznacza to zgodę. - Pocałowała go znowu. - Tak. - I jeszcze raz. - Tak. - I jeszcze raz, zanim Znow ułożyła się u jego boku, dumnie potrząsając zaciśniętą pięścią. - Tak!

## **EPILOG**

No cóż, pomyślała Rachael, kiedy Sylvie po raz ostatni poprawiła tren jej ślubnej sukni. To nie miało się zdarzyć. A ona nie miała się martwić o szczegóły. Sylvie, jej nowa partnerka w ekskluzywnej firmie obsługującej śluby w Miami, planowała tę ceremonię od pół roku, krok po kroku.

Osiągnęła doskonały efekt.

Tak doskonały, jak mężczyzna oczekujący na nią przed ołtarzem z uśmiechem, który skradł jej serce już od pierwszego wejrzenia.

Miłość. Do niej. Lśniła w ciemnych oczach Nate'a, odzianego we wspaniały, wcięty smoking.

Miłość. Do niego. Wypełniała Rachael całkowicie. Ścisnęła w dłoni bukiet i wsparta na ramieniu ojczyma ruszyła ku swemu przeznaczeniu.

Miłość. Do matki, która w ciągu tych ostatnich miesięcy śmiała się z nią i płakała, aż na nowo odnalazły do siebie drogę.

Jesteś piękna, mówiły jej oczy Nate'a McGrory'e-go, pełne czułości, która napełniła ciepłem jej serce.

Chodź, *mi corazón*. Złóżmy już te śluby, abym oficjalnie mógł oznajmić światu, że należysz do mnie. Miała nadzieję, że i jej oczy potrafią mówić.

- Zawsze należałam do ciebie. Zawsze będę należeć. Do końca życia będzie pamiętać każdą chwilę tego

dnia. Dumę matki. Karen i Kimmie w lawendowych i różowych sukniach, uśmiechnięte przez łzy, które mówiły wiele o tym, jak się cieszą z jej szczęścia. Jej siostry i rodzina Nate'a wspólnie świętujący ten wspaniały dzień.

Przede wszystkim jednak będzie pamiętać spojrzenie Nate'a, kiedy wziął ją w ramiona tej nocy i napełnił czułą namiętnością.

- Kocham cię, Rachael. Na zawsze. Szczęście, pomyślała, zatracając się w jego objęciach. Skąd ja mam tyle szczęścia w miłości?